DUNAJEC
Nowosądecki tygodnik PZPR

Nr 39 (464)
24 września 1989 r.
Cena 100 zł

PL ISSN
0208-5968
Nr indeksu 35657

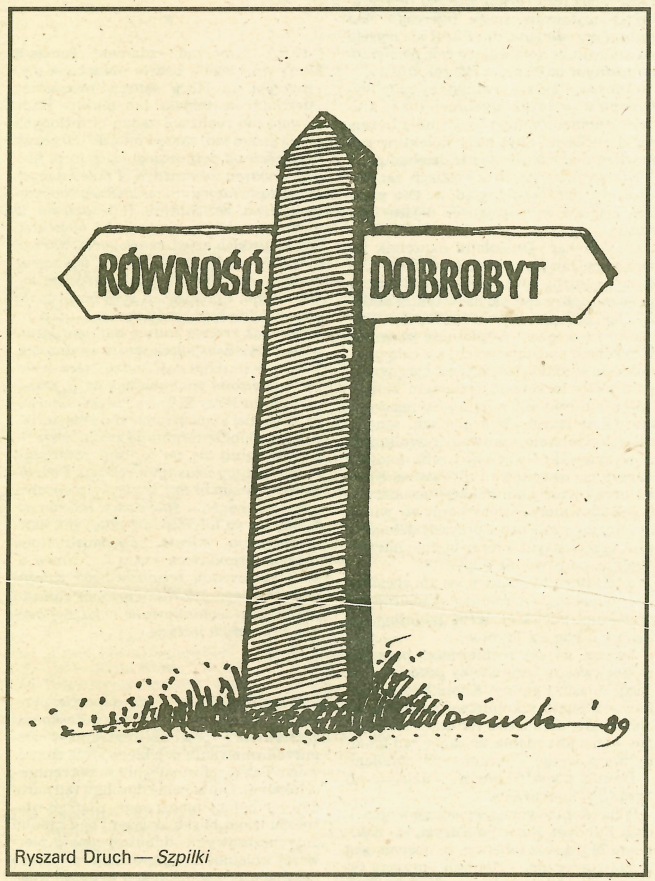

Ryszard Druch — *Szpilki*

Adam Ogorzałek

Pieczątka za cholewą nie wystarczy

Kto ma dość wyobraźni, a także wyostrzony wzrok, ten wie, że tym razem nie idzie już o kosmetyczne zmiany, pozorowane reformy i personalne roszady. W Polsce dokonuje się największy od czterech dziesięcioleci polityczny przewrót. Jego epicentrum znajduje się dość daleko od Nowego Sącza, ale niebawem — co do tego nie ma wątpliwości — *trzęsienie ziemi* obejmie także prowincję.

Jak zawsze, kiedy wieje wiatr historii, jedni próbują przeczekać zawieruchę, inni manipulują przy żaglach. Nie sądzę, by pasywność przyniosła komukolwiek zyski. Manipulacje — obliczone na opóźnienie tego co nieuchronne — też się nie powiodą. Sytuacja dojrzała do gruntownych przeobrażeń w terenie.

Pisałem przed tygodniem, że proces demokratyzacji kraju będzie kulawy, jeśli nie obejmie *ojczyzn mniejszych*, a więc Polski gminnej i wojewódzkiej. Zdaniem ludzi doświadczonych, od wielu lat działających na niwie społecznej, **równolegle ze zmianami w centrum konieczne są zmiany na dole.** Uczestnicy naszej redakcyjnej dyskusji zgodnie wskazują warunki wstępne uformowania autentycznego samorządu lokalnego: potrzebna jest nowa ustawa wyposażająca rady miejskie i gminne w odpowiednie uprawnienia, potrzebna jest finansowa samodzielność rad. Bez zwłoki należy rozpocząć przygotowanie tej ustawy, a zaraz po jej uchwaleniu — przeprowadzić wolne wybory, które wyłonią najlepszych przedstawicieli wspólnot lokalnych.

Mamy w Nowosądeckiem długą i chlubną tradycję samorządności. Możemy — i powinniśmy — wnieść sporo w ogólnokrajowy proces tworzenia przyszłego kształtu rad miejskich i gminnych. Z tą intencją prezentujemy w rubryce Romana Kostaneckiego przemyślenia naszych radnych z lat dawniejszych i z obecnej kadencji. Dziś spróbuję z ich wypowiedzi wyłuskać te wątki i propozycje, które szkicują optymalny model samorządu lokalnego, a także te uwagi, które wskazują ewentualne mielizny.

★

— *Ludzie pragną sami określać sobie cele i to należy zagwarantować lokalnej władzy jako reprezentantowi społeczeństwa* — mówi Tomasz Mierzwiński. — *Rada musi być najwyższą władzą w terenie, wybraną z woli mieszkańców i przed nimi się rozliczającą. Jej decyzje powinny podlegać jedynie sądowej ocenie legalności, nie mogą ich dotykać interwencje rad wyższego szczebla.*

A więc odrzucenie hierarchicznego podporządkowania, rozgraniczenie kom-

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Żądamy wyjaśnień!

Zbiorową petycję mieszkańcy Wielopola skierowali do senatora dr. Krzysztofa Pawłowskiego, do wojewody, do Zygmunta Berdychowskiego z „Solidarności" oraz do 35 radnych z Chełmca.

Wpierw zwracali się do wielu urzędów...

Pierwsze pytanie, jakie narzuca się po lekturze pism załączonych do petycji: dlaczego nikt do tej pory nie odpowiedział skarżącym się czy mają rację? Dlaczego żadna urzędowa osoba nie zdołała ani w sierpniu, ani we wrześniu poświęcić choćby godzinę na uczciwe rozpatrzenie, czy budowany w Wielopolu prywatny zakład betoniarski powstaje w zgodzie z prawem?

Senator, wojewoda, działacz „Solidarności" mają dostatecznie dużo innych zajęć. Utoną w powodzi skarg, jeśli — wskutek urzędniczej opieszałości — będą musieli interweniować wszędzie tam, gdzie brakło wyobraźni i elementarnego poczucia obowiązku. Na razie nie obejdzie się chyba bez tej interwencji. Bo nie tylko opieszałość demaskują autorzy petycji.

Pisali w lipcu:

Uprzejmie prosimy o sprawdzenie, czy budowany zakład betoniarski spełnia wymogi ochrony środowiska. Zakład ten graniczy bezpośrednio z polami uprawnymi, ogródkami działkowymi (m.in. Zakładu Hodowli Roślin) i zabudową mieszkalną. Wielkość i charakter stawianego obiektu wskazują na przemysłową skalę produkcji, a co za tym idzie — skażenie terenu i upraw, hałas i zapylenie. Duży pobór wody przez zakład spowoduje obniżenie poziomu wód gruntowych i zanik wody w studniach.

Adresat: Wydział Ochrony Środowiska w Urzędzie Wojewódzkim oraz Urząd Gminy.

Brak odpowiedzi sprawił, że od początku września mieszkańcy Wielopola oraz tamtejszy Zakład Hodowli Roślin ślą kolejne pisma. Do przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Chełmcu. Do Urzędu Gminy. Do Wydziału Planowania Przestrzennego, Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego UW. Do Wydziału Ochrony Środowiska — ponownie. Do wojewody, Państwowej Inspekcji Ochrony Środowiska, wreszcie do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Tych wszystkich pism mogło nie być, gdyby dwie pierwsze instytucje — naczelnik gminy i Wydział Ochrony Środowiska — odpowiedziały w ustawowym terminie na uprzejmą prośbę zainteresowanych!

Nie ma ponoć złego, co by na dobre nie wyszło. Dzięki pisaniu i nachodzeniu urzędów skarżący się odkryli, że pozwolenie na budowę betoniarni zostało wydane *„na podstawie fałszywych materiałów źródłowych"*.

Ten ciężki zarzut — wymagający obecnie skrupulatnego zbadania — sformułowali autorzy petycji po uzyskaniu mapy terenu, na której nie ma... kilkunastu domów (część w budowie, część dawno zamieszkana).

Na ten aspekt sprawy pragniemy specjalną uwagę zwrócić, gdyż z podobnymi przypadkami redakcja nasza zetknęła się wielekroć w ostatnich latach.

Wróćmy do argumentacji przeciwników budowania betoniarni w bezpośrednim sąsiedztwie domów i pól uprawnych.

— *Uważamy, że przeciwko lokalizacji obszaru przemysłowego na terenach rolniczych klasy IV (bez uzbrojenia technicznego i zaopatrzenia w wodę, bez możliwości odprowadzenia ścieków) przemawia interes społeczny.*

Zgodnie z ustawą o planowaniu przestrzennym, jako żywotnie zainteresowani, powinniśmy być poinformowani w sposób właściwy o planowanej budowie. Niestety, sprawa ta nie była rozpowszechniona wśród najbardziej zainteresowanych, o czym niezbicie świadczy całkowite zaskoczenie uczestników wizji lokalnej w dniu 6 września br. Wyszło wówczas na jaw, że ob. Szkaradek posiada pozwolenie na budowę betoniarni, wydane 11 kwietnia 1988 bez wymaganych i zatwierdzonych zmian planu w zagospodarowaniu terenów z rolniczych na przemysłowe. Decyzja taka z mocy prawa jest nieważna. Dodatkowym uchybieniem jest nie poinformowanie o powyższej decyzji właścicieli sąsiadujących terenów, co narusza ich interes prawny. Uniemożliwiło to wniesienie przez nas odwołań, co przewiduje Kodeks Postępowania Administracyjnego.

Według uzyskanych informacji ani Wydział Ochrony Środowiska, ani Państwowa Inspekcja Sanitarna nie opiniowały i nie wyrażały zgody na utworzenie obszaru przemysłowego pomiędzy terenami Zakładu Hodowli Roślin i na terenie istniejącej zabudowy jednorodzinnej. Podjęta przez nas w Urzędzie Gminy próba wyjaśnienia stanu faktycznego spotkała się z niechętnym i stronniczym działaniem na naszą niekorzyść. Poinformowano nas, że budynki wznoszone od sześciu lat (za zgodą tegoż Urzędu) w ogóle nie istnieją, co potwierdza uwierzytelniona mapka, na podstawie której opracowano nowy plan zagospodarowania przestrzennego i wystąpiono o przeklasyfikowanie terenów. Świadczy to o świadomym zafałszowaniu danych stanowiących materiał do opracowania planu.

Całe to bezprawie ma być prawdopodobnie zatwierdzone 28 września br. na sesji Gminnej Rady Narodowej. Dlatego prosimy o podjęcie niezwłocznych działań.

Prosimy o wyłączenie Referatu Gospodarki Terenowej w Urzędzie Gminy z prowadzenia tej sprawy, gdyż istnieją przesłanki świadczące o działaniu na naszą niekorzyść (m.in. sposób przedstawienia sprawy oraz niezgodne ze stanem faktycznym przygotowanie materiałów źródłowych do planu i wniosku o przeznaczeniu terenu).

★

Tak wyglądają racje osób podpisanych pod petycją. Czekamy z zaciekawieniem na stanowisko radnych. Ale przede wszystkim żądamy wyjaśnienia, czy przemilczenie prośby z 28 lipca to tylko urzędnicze niedbalstwo, czy też próba wymigania się od odpowiedzi na kłopotliwe pytania.

Nie mamy kompetencji, by rozstrzygać kto w tym konflikcie stoi na gruncie prawa. Jednakże wyjaśnienie podniesionych wątpliwości wydaje się konieczne. I to jak najrychlej, bo budowa betoniarni postępuje.

Dolary. Nowosądecka kasa PKO sprzedawała 19 września dolary po 10800 zł, marki zachodnioniemieckie — po 5400 zł, franki francuskie — 1800 zł, franki szwajcarskie — 6000 zł, funty — 15 500 zł, austriackie szylingi — 650 zł bony — 10000 zł. Dolary u „cinkciarzy" kosztowały 10 000 zł, bony — 9500.

Złoto. „Jubiler" płacił 19 września za złote sztabki, nieuszkodzone monety sztabkowe i nowe monety: próby 1000 — 103 tys. zł za gram, pr. 986 — 101 560 zł, pr. 960 — 98 880 zł, pr. 916 — 94 350 zł, pr. 900 — 92 760 zł; za nieuszkodzone złote monety: pr. 1000 — 118 tys. zł, pr. 986 — 116 350 zł, pr. 960 — 113 280zł, pr. 916 — 108 990zł, pr. 900 — 106 200 zł, za złom złota: pr. 1000 — 81 tys. zł, pr. 960 — 77 760 zł, pr. 750 — 60 750 zł, pr. 500 — 40 500 zł, pr. 333 — 36 970 zł.

Maślany rynek. Jajka — od 160 do 190 zł, kilogram ziemniaków do 350 zł, kilogram cebuli — 400 zł, pomidorów — od 1000 do 1400 zł, ogórków — 1600 zł, fasoli szparagowej — 600 zł, buraczków ćwikłowych — od 300 do 400 zł, zielonej papryki — od 1200 do 1400 zł. Średniej wielkości seler — 150 zł, wiązka zielonego koperku — 100 zł, kolba kukurydzy — od 50 do 100 zł, duży słonecznik — 250 zł, por — od 150 do 250 zł. Garść grzybów kozaków — 1500 zł, kilogram maślaków — 2 tys. zł, szklanka poziomek — 400 zł. Kilogram gruszek klapsów — 1300 zł, brzoskwiń — 2500 zł, truskawek (!) — 2500 zł, szklarniowych winogron — 2 tys. zł, jabłek Mc Intosh — od 700 do 800 zł, (stragan — 1200 zł).

Od urynkowienia cen żywności — mięsa na straganach dużo, ale i tak jego szlachetniejsze gatunki nabyć można tylko rano, pomiędzy godziną 7 a 8. Kilogram schabu — 8 tys. zł, wieprzowej wątroby — 6 tys. zł, wołowej łopatki — 4,5 tys. zł, cielęciny — od 5,5 do 6,5 tys. zł, słoniny — od 3,5 do 4 tys. zł.

Ciuchy. Ciepły sweter z owczej wełny — od 25 do 32 tys. zł, damska kurtka z madery — 55 tys. zł, para drewniaków — 4 tys. zł. Radziecka piłka do gry w siatkówkę — 15 tys. zł, wiklinowa klatka na kanarka — 10 tys. zł, radziecki mały robot kuchenny — 75 tys. zł, komplet sztućców — 50 tys. zł, solone chińskie orzeszki ziemne — 2,5 tys. zł (identyczne w sklepie — 1400 zł), tombakowe pierścionki — od 1200 do 2500 zł.

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

petencji rad narodowych szczebla wojewódzkiego od kompetencji samorządów lokalnych. Wszystko co służy miastu i w mieście się znajduje — niech przejdzie w kompetencje władz lokalnych. — *Uchwała rady nie może być uchylona przez radę wyższego szczebla, lecz tylko przez sąd w przypadku niezgodności z prawem lub sprzeczności z interesem społecznym* (Kazimierz Moździerz).

W tym miejscu nasuwa się pytanie o sens istnienia rad wojewódzkich. Marek Rusin uważa, że *samemu rządzić się można w niewielkiej, zintegrowanej społeczności, związanej tymi samymi problemami* (a więc we wsi, gminie, mieście). Stworzenie nowej struktury samorządowej postawi zatem na porządku dnia kwestię podziału administracyjnego kraju (powiaty).

Większość wypowiadających się jest zdania, że rady wojewódzkie powinny pełnić jedynie rolę koordynacyjną oraz sprawować nadzór nad instytucjami i służbami o ponadlokalnym zasięgu. Przeważa pogląd, iż radni wojewódzcy mogą być wyłonieni nie w wyborach powszechnych, lecz spośród radnych gminnych i miejskich.

Zmianie musi ulec usytuowanie rady wobec administracji terenowej. — *Wprawdzie obecnie rada wybiera naczelnika i może mu nie udzielić absolutorium, ale jej wpływ na konstruowanie planów i budżetów jest niewielki* (Adolf Dutka). — *Administracja lokalna powinna być jedna, bez podziału na samorządową i państwową. Samorząd musi być jedynym gospodarzem terenu, a wszystkie jednostki i zakłady pracy byłyby mu podporządkowane* (Tadeusz Trybus).

— *Gdy powstaną samorządy lokalne w nowym kształcie, to skończy się czas zgłaszania postulatów do „władzy". Samorząd musi sam te postulaty realizować, a jeśli nie potrafi, narazi się na społeczną krytykę* (Stanisław Ślimak).

— *Najlepszy samorząd nie zastąpi administracji terenowej, której szef powinien być wybierany przez samorząd i przed nim odpowiedzialny. Aby mieć dobrą i sprawną administrację, trzeba stworzyć warunki, by architektowi, geodecie, lekarzowi opłacało się w gminie pracować (...) Siła samorządów lokalnych będzie zależeć od tego, czy zostaną mądrze wybrane i czy będą mieć dobrą administrację. Dzisiaj wójtowi nie wystarczy pieczątka za cholewą, musi być otoczony gronem dobrych fachowców* (Jan Koszkul).

— *Wokół samorządu trzeba zgrupować kompetentnych fachowców* — twierdzi Stanisław Ślimak, ale zaraz dodaje, że dobrych fachowców będzie trudne, dopóki płace w administracji nie staną się atrakcyjne.

Tak jak w dyskusjach o gospodarce, również przy projektowaniu nowego modelu samorządności wyraźnie rysuje się potrzeba „odpolitycznienia" rad. — *Podziały polityczne nie mają znaczenia dla pracy samorządu. Dobro społeczności miejskiej czy wiejskiej jest nadrzędne, niezależnie od przekonań politycznych. Bardziej niebezpieczne są podziały rodzinne i zawodowe (czyli grupy nacisku reprezentujące wyłącznie swoje interesy). Ani radom narodowym, ani PZPR nie wyszło na dobre to, że dominującą rolę powierzono radnym partyjnym* (Marek Rusin).

Celny wydaje się postulat, by rady wyłonione w wolnych wyborach (bez „kluczy" i nomenklatury) były mniej liczne, niż dotychczas; zbyt duży kolektyw jest bowiem mało skuteczny w działaniu.

Nie we wszystkich kwestiach zanotowaliśmy zbieżność poglądów. Oto przykłady spraw wymagających dalszej dyskusji.

Co dotować? Długoletni naczelnik Limanowej, Jan Kubowicz, powiada: — „Oświata i służba zdrowia muszą być przez państwo dotowane, ale nie w takim zakresie, jak obecnie. Wprowadziłbym — chociażby częściową — odpłatność za naukę w szkołach podstawowych, a z całą pewnością w średnich i wyższych. Oczywiście należałoby to osłonić systemem zniżek, np. za dobre wyniki w nauce, stypendiami dla najuboższych. W szpitalach, sanatoriach powinno się wprowadzić odpłatność za wyżywienie. Na pewno trzeba dotować inwestycje oświatowe i zdrowotne. Należy urentownić komunikację pasażerską (...) Budownictwo mieszkaniowe winno być finansowane przez przyszłych lokatorów; przecież tym, którzy budują indywidualnie, państwo nie dopłaca".

— *Kultura bez dotacji się nie obejdzie. Nie dotowałbym natomiast absolutnie komunikacji miejskiej. WPK oddałbym w ajencję* (Tadeusz Trybus).

Jeszcze więcej rozbieżności powstaje wokół kwestii, jakie służby pozostawić w gestii miasta i gminy. Komu podporządkować szpitalnictwo, geodezję, architekturę, doradztwo rolnicze? Mieczysław Rams jest zdania, że samorząd lokalny nie powinien się zajmować handlem: — *Handel niech działa samodzielnie, na zasadach konkurencji...*

Wciąż kontrowersje wywołuje Wojewódzki Fundusz Rozwoju Turystyki. Kazimierz Moździerz twierdzi, że obecnie jest to zło konieczne. — *Ale jeśli oprzemy turystykę na zdrowych zasadach, to Fundusz ten zastąpimy opodatkowaniem wszystkich gestorów prowadzących działalność turystyczno-wczasową.*

Niepokój budzi sytuacja mniej zasobnych miejscowości. Tadeusz Trybus z perspektywy gminy gorlickiej widzi następujące rozwiązanie: zakłady przemysłowe zatrudniające mieszkańców gminy powinny świadczyć na jej rzecz. — *Powinien powstać fundusz pomocy wsi, bo jeśli zabiera się nam siłę roboczą, to coś nam się za to należy.*

Pieczątka za cholewą nie wystarczy

★

Nowy samorząd — zdaniem Tomasza Mierzwińskiego — będzie *związkiem skupiającym na mocy ustawy wszystkich mieszkańców miasta lub gminy.* Rada powoła (do realizacji zadań określonych przez samorząd) zarząd miejski. *Oznacza to odejście od dotychczasowych form funkcjonowania administracji polegających na reglamentowaniu wszystkiego obywatelowi, na zezwalaniu (...) Idziemy w kierunku wzrostu aktywności obywateli we wszystkich dziedzinach życia. Zarząd miejski — podporządkowany wyłącznie radzie — zarządzać będzie mieniem komunalnym i ponosić za stan gospodarki odpowiedzialność majątkową (...) Ta reforma, jak zresztą żadna, automatycznie nie uszczęśliwi społeczeństwa i jednostek. Ważna jest aktywność ludzi, która u siebie i na swoim powinna być największa.*

Profesor Jerzy Regulski, przewodniczący senackiej komisji samorządu terytorialnego, podobnie formułuje swoją wizję: — *Ludzie łączą się po to, aby załatwiali swoje sprawy własnymi rękami. Podstawowa prawda brzmi, iż nie ma gospodarności bez kontroli społecznej. Inaczej godzimy się na tolerowanie patologii, marnotrawienia mienia, uniemożliwiamy rozwój gospodarczy kraju (...) Nowy ustrój samorządu terytorialnego zależał będzie od tego, jak ramy prawne zostaną przez ludzi wykorzystane w każdej gminie, w każdym mieście.*

★

Przestroga poety — *nie depczcie przeszłości ołtarzy, choć sami macie doskonalsze wznieść* — powinna towarzyszyć całemu reformowaniu polskiego życia zbiorowego. Także reformowaniu samorządności lokalnej. Odrzucenie dorobku rad narodowych byłoby nierozwagą. Dlatego właśnie ludziom blisko związanym z radami dotychczasowymi oddaliśmy głos w pierwszej kolejności. Zgromadzili oni sporo doświadczeń osobistych, a ponadto właśnie wśród nich od dawna nafastała krytyka samorządności pozornej. Teraz chętnie udostępnimy łamy „Dunajca" dalszym dyskutantom.

ADAM OGORZAŁEK

Warto wiedzieć, że...

Kontynuujemy dyskusję o przyszłym kształcie samorządu lokalnego.

JÓZEF FERKO — radny WRN, prezes Gminnego Komitetu ZSL, a od kilku tygodni **naczelnik Gminy w Krościenku nad Dunajcem:**

— Mam trochę doświadczenia w pracy rad narodowych, bo w poprzedniej kadencji byłem wiceprzewodniczącym Gminnej Rady. Jako wiceprezes Gminnego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych często kontaktuję się z ludźmi, znam ich poglądy i nastroje, a także troski i potrzeby.

Myślę, że przyszłe samorządy lokalne wyrosną z dotychczasowego, wieloletniego doświadczenia rad narodowych, a także z interesujących doświadczeń zdobytych w ostatnich latach przez samorządy wiejskie i osiedlowe. Te samorządy, opierające się na autentycznej pracy społecznej — choć dysponują bardzo skromnymi środkami finansowymi, wiele potrafią zdziałać, bo mają poparcie swych środowisk. Przykładem może być sołectwo w Kątach, gdzie w czynie społecznym rozbudowano remizę strażacką, powstają drogi, kładki i zastawki. Dzieje się to wszystko za sprawą dobrze funkcjonującej rady stołeckiej oraz operatywnego sołtysa, **Stanisława Gabrysia.** W Krośnicy i Tylce mieszkańcy budują remizy strażackie i drogi dojazdowe do pól. Byłoby źle, gdyby przy tworzeniu nowych samorządów zaprzepaszczono ten dorobek i doświadczenie, gdyby „zgubiono" ludzi całym sercem oddanych swym środowiskom i nie szczędzących czasu na pracę społeczną.

Do przyszłych samorządów trzeba wybrać najlepszych. Kandydatury powinny być wyłonione na zebraniach środowiskowych, bo w małych społecznościach ludzie znają się najlepiej. W samorządach muszą zasiąść ludzie mądrzy, wartościowi, chętni do pracy społecznej, niezależnie od przynależności politycznej i społecznej.

Samorząd terytorialny niczego nie zrobi bez zasobnej kasy, bez środków finansowych. Miejscowości takie jak Krościenko, nie mające większych zakładów pracy, muszą budować swe budżety na podatkach i opłatach lokalnych. Musimy też wykorzystać to, że jesteśmy wciąż atrakcyjną miejscowością wypoczynkowo-letniskową. Trzeba więc czerpać pieniądze z parkingów, pól namiotowych i usług komunikacyjnych. Obecnie obowiązujące przepisy meldunkowe nie sprzyjają opodatkowaniu turystów i należy je pilnie zmienić. Można również czerpać dochody z mienia komunalnego, ale wymaga to zmiany nie tylko wielu przepisów, ale również społecznej mentalności. Nie możemy gnuśnieć w przekonaniu, że *„w tym kraju nic się nie opłaca".* Oczywiście nie obejdziemy się bez dotacji na utrzymanie oświaty i służby zdrowia, ale to zrozumiałe. Jednakże szkoły i ośrodki zdrowia należałoby podporządkować samorządowi szczebla podstawowego.

Samorząd powinien dysponować również własnymi służbami budowlanymi, geodezyjnymi i rolnymi — wówczas będą one bliżej obywatela. Wszystkie sprawy indywidualne w pierwszej instancji powinny być załatwione na szczeblu podstawowym, który już teraz ma dość rozległe kompetencje w różnych dziedzinach życia. Obecny podział kompetencji między WRN a rady stopnia podstawowego jest — moim zdaniem — optymalny i należy go utrzymać również w przyszłości.

Samorząd lokalny powinien dysponować własnymi służbami porządkowymi (może to być milicja komunalna czy też straż porządkowa). Obecnie Krościenko nie ma własnego posterunku MO, teren naszej gminy jest obsługiwany przez komisariat w Szczawnicy, toteż rzadko tu widzimy funkcjonariuszy milicji. Cóż z tego, że zorganizowaliśmy płatny parking, gdy mało kto z niego korzysta — kierowcy parkują gdzie chcą i nie ma ich kto przywołać do porządku. Podobne przykłady można mnożyć. Myślę, że komunalną milicję można by utworzyć z mieszkańców gminy; odpadłyby wówczas problemy mieszkaniowe. Sądzę również, że po wyborze samorządów terytorialnych należałoby pozostać przy jednolitej administracji — nie rozszczepiać jej na państwową i samorządową. Na szczeblu podstawowym administracja samorządowa mogłaby przecież realizować ustawowo określone funkcje państwowe. Naczelnik gminy winien być wybierany przez samorząd (po konsultacji ze społeczeństwem) i przed nim odpowiedzialny.

MARIA WAŚNIOWSKA — przewodnicząca Rady Miejsko-Gminnej PRON w Muszynie, pracownica administracji terenowej z 40-letnim stażem:

— Najwyższą władzą w terenie powinna być rada narodowa wybrana z miejscowej społeczności w demokra-

Proces urynkowienia rolnictwa zakłada demonopolizację skupu, przetwórstwa oraz handlu artykułami rolnymi i spożywczymi. Dziś już każdy rolnik może sprzedawać płody swego gospodarstwa według własnego uznania po cenach — przynajmniej teoretycznie uzgodnionych z kupującymi. Praktycznie — może się zgodzić lub nie na cenę przez kupującego oferowaną. Podejmowane są działania zmierzające do otwierania nowych ubojni i przetwórni mięsa. W ostatnim czasie uruchomiły takie zakłady Gminne Spółdzielnie „Samopomoc Chłopska" w Jordanowie i Jodłowniku oraz Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Uściu Gorlickiem. Do końca roku nowe zakłady powstaną w geesach Mszana Dolna i Krościenko. W jednym ze swoich gospodarstw rolnych uruchomi ubój i przerób mięsa Nowosądecki Ośrodek Postępu Rolniczego. Działa już 18 prywatnych zakładów (10 powstało w tym roku). Uruchomiono bezpośredni skup od rolników półtusz wieprzowych, ćwierci wołowych oraz mięsa baraniego (oczywiście zbadanego przez weterynarza). Demonopolizacja przetwórstwa mięsa staje się więc faktem. Znacznie trudniejsza jest sytuacja w zakresie przetwórstwa mleka. Tutaj chyba jeszcze długo będziemy zdani tylko na Okręgowe Spółdzielnie Mleczarskie.

Nie widać także nowych sklepów w branży spożywczej. Bo łatwiej sprzedać drogi towar w butiku niż obsługiwać wielu klientów w sklepie spożywczym. A może należałoby stworzyć preferencje dla tego typu placówek?

★

Biblioteka regionalna naszego województwa wzbogaciła się o interesującą pozycję: „Klejnot zagubiony w górach", pióra księdza **Bronisława Krzana**, od wielu lat związanego z Krościenkiem nad Dunajcem. Książkę liczącą ponad 330 stron wydano z okazji 700-lecia Krościenka. **Eugeniusz Rustanowicz** we wstępie pisze: *Zamierzeniem autora było odgrzebać przeszłość górskiego zakątka, nad którym przyszło mu pracować, opisać jego dolę, a jeszcze bardziej niedolę — na przestrzeni siedmiu tak bogatych w wydarzenia wieków.* Zadanie to autorowi powiodło się znakomicie. Dalej we wstępie do książki czytamy: *Nie rości sobie ona pretensji do szczegółowego omówienia 700-letnich dziejów miasta, nie pozwalają na to: stan zachowanej podstawy źródłowej oraz ramy przestrzenne samej monografii. Autor główny nacisk położył na ukazanie mniej znanych a ważnych i ciekawych problemów jego historii. Mimo jej w zasadzie naukowego charakteru, pisana jest językiem prostym, miejscami barwnym, z akcentami emocjonalnymi, typowymi dla zaangażowanych badaczy regionalistów. Dzięki temu język ten jest bardziej obrazowy i komunikatywny. Jedno jest pewne: monografia ta służyć będzie współczesnym i potomnym jako interesujący przyczynek do dziejów miast polskich i tego zakątka górskiego, przyciągającego turystów i miłośników pienińskiego regionu.* Radzimy przeczytać.

★

Prywatny właściciel pojazdu asenizacyjnego w Nowym Sączu napisał na swojej beczce: *Pecunia non olet.* I ma rację.

STANISŁAW KUTA NOTES

KRONIKA MILICYJNA

Rozboje i pobicia: Funkcjonariusze milicji, którzy w Jordanowie próbowali uspokoić nietrzeźwych mieszkańców tej miejscowości — Adama L. i Tadeusza H. — zostali pobici i pokopani. Znów więc milicjanci ponieśli ofiarę zdrowia w imię obrony porządku publicznego.

Przestępstwa gospodarcze: „Kradzione nie tuczy" — wzdychają zapewne dwie pracownice „Pewexu" w Mszanie Dolnej. Przyjdzie im odpowiedzieć przed sądem za zagarnięcie mienia swej firmy.

Kradzieże i włamania: Pracownica „Domu Pszczelarza" w Kamiannej przechowywała w pomieszczeniach biurowych złotą biżuterię — 3 pierścionki i łańcuszek. Widać nie było to miejsce najbezpieczniejsze, skoro biżuteria stała się łupem nieznanego włamywacza ◆ Z nowo wybudowanego domu Józefa I. w Nowym Targu skradziono 3 wiertarki elektryczne wartości 500 tys. zł ◆ Aparat fotograficzny, radiomagnetofon i odzież — łącznej wartości około 400 tys. zł — stanowiły zawartość plecaka, który ukradziono na dworcu PKP w Zakopanem obywatelce Finlandii — Ulli J. ◆ Nie udał się pobyt w Szczawnicy mieszkańcowi Będzina — Władysławowi S. Skradziono mu „poloneza" z zawartością. Suma strat — 12 mln zł ◆ Mieszkaniec Ptaszkowej, pracownik ZNTK próbował skraść ze swego zakładu elementy sanitarne wartości 75 tys. zł. Został zatrzymany na gorącym uczynku ◆ Zakopiance Kazimierze S. złodziej zabrał z domu 320 tys. zł, 45 dolarów USA i złotą biżuterię wartości 600 tys. zł ◆ W Nowym Sączu z Osiedlowego Domu Kultury przy ul. Kołłątaja włamywacze zabrali komputer „spektrum-plus", magnetofon „hatan-recordas" i 2 joystiki ◆ Sprzęt radiowy wartości 932 tys. zł stał się łupem włamywaczy w nowotarskim sklepie „Unitra-Serwis" ◆ Z magazynów Nadleśnictwa w Piwnicznej nieznani sprawcy — po wyłamaniu drzwi — zabrali 2 piły spalinowe ◆ Gdańszczanin Bogdan S. skradł z niezamkniętego samochodu zakopiańczyka Józefa R. 3 mln zł ◆ 200 tys. zł i 700 dolarów USA znajdowało się w torebce pozostawionej niebacznie na ladzie przez pracownicę jednej z nowosądeckich aptek i razem z torebką „wyszło" z jakimś nieuczciwym klientem.

(Z informacji rzecznika prasowego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych)

elg.

proszę o głos

Od lat co najmniej czterdziestu odwiedzam ziemie województwa nowosądeckiego i przemierzam trasę od Rożnowa po Tatry. Pozwala mi to na pogłębienie mej wiedzy o dolinie Dunajca, a zwłaszcza o jej mieszkańcach. Jak wszędzie, tak i tu różnych spotykam ludzi: mądrych i ofiarnych, pracowitych i uczciwych obok złodziei, nierobów i głupców. Oczywiście najwięcej tych zwykłych „zjadaczy chleba", którzy decydują o losie regionu. Niestety — w miarę upływu lat stwierdzam z goryczą, że „warstwa średnia" wyraźnie się kurczy na rzecz innej, zwanej (chyba niezbyt słusznie) lumpenproletariatem.

Dominującą cechą tej ostatniej grupy, groźnej dla przyszłości Nowosądeckiego i kraju, jest wciąż obniżający się poziom jej kultury — zwłaszcza kultury współżycia społecznego, nieuczciwość i zachłanny egoizm.

Dominującym (lecz bynajmniej nie jedynym) wrażeniem przemierzającego dolinę Dunajca turysty jest b r u d. Dosłowny, fizyczny, szczególnie widoczny na brzegach Jeziora Rożnowskiego (sterty puszek, zawieziny smołowe, mazie niewiadomego pochodzenia), po przystankach autobusowych etc., a także — co wartwi szczególnie — brud moralny, którego kanwą jest nieżyczliwość i chamstwo.

To ostatnie najostrzej zauważalne jest w autobusach PKS. Prawda, że podróżni są najczęściej zmęczeni, a więc i drażliwi, jednak nie usprawiedliwia to „wyczynów" obsługi autobusowej. To co się dzieje zwłaszcza na niektórych liniach można nazwać tylko jednym wyrazem: b e z c z e l n o ś ć!

Jak inaczej wytłumaczyć na przykład taki obrazek z działalności PKS Szczawnica? 8 września br. — Sromowce Wyżne. Autobus mający wyruszyć do Szczawnicy o godz. 11.57 wyrusza z przystanku 7 minut za wcześnie. Nie zatrzymuje się niemal na żadnym przystanku po drodze, choć jedzie prawie pusty. Podwozi tylko do karczmy „Waluś" w Krościenku trzech górali — przewoźników (flisaków). Dopiero w Krościenku na rynku staje, a stąd goni z maksymalną szybkością do Szczawnicy, by tam przybyć 17 minut przed czasem. Dodam, że kierowca autobusu „nie zdążył" na przystanku końcowym w Sromowcach zmienić tablicy kierunkowej, więc właściwie jechał w stronę przeciwną do tej, jaką wskazywała tablica.

Poruszę jeszcze jedną sprawę — drobną, wydawałoby się, ale również dającą pole do smutnej refleksji. Wieloletnie włóczęgi wzbogaciły mnie o około dwa tysiące barwnych slajdów, które wyświetlam uczestnikom wygłaszanych przeze mnie — szczególnie po szkołach — prelekcji. Zawsze całkowicie bezinteresownie. Odwiedziłem już wiele szkół nowosądeckich — np. w Maniowach i Rożnowie. Z myślą głównie o młodzieży napisałem dwie książki („W dolinie Dunajca" wydano w 1974 r., druga jest w druku).

W tym roku, ponieważ leczyłem chore gardło w Szczawnicy, zaproponowałem wygłoszenie w tej miejscowości kilku prelekcji (oczywiście znów całkowicie bezinteresownie). Miałby to być wieczór autorski połączony z ekspozycją około dwustu slajdów z tych terenów. Jakież było moje przykre zaskoczenie, gdy żaden niemal z domów wczasowych ani sanatoriów nie skorzystał z propozycji tłumacząc, że „to trzeba dopiero uzgodnić z miejscowymi przewodnikami" albo że „to nie jest w naszym profilu". Spotkałem się z obojętnością, a nawet arogancją. A w każdym niemal domu („Górnik", „Hutnik") czy sanatorium („Nauczycielskie", „Budowlani"), w PPU są zatrudnieni pracownicy tzw. kulturalno-oświatowi. Nie chciałbym nikogo urazić, ale wydaje mi się, że w większości są to tylko u r z ę d n i c y, a nie działacze.

W państwie praworządnym i nie zbiurokratyzowanym zarówno ów kierowca zdążający przed czasem pustym autobusem ze Sromowiec Wyżnych do Szczawnicy, jak i tacy pseudodziałacze oświatowi ze szczawnickich sanatoriów powinni przejść do innej pracy. Byłe to była praca efektywna!

Polska się dźwignie tylko wtedy, gdy pracę p o z o r o w a n ą zastąpi praca r z e c z y w i s t a, fikcję — p o ż y t e k s p o ł e c z n y.

BOLESŁAW LENART
Warszawa

tycznych wyborach. Radnymi powinni być ludzie obdarzeni kredytem społecznego zaufania i poparcia, znający problemy swoich środowisk, nawet z pozoru drobne i mniej ważne. Rady — czy jakkolwiek nazwiemy organa samorządu terytorialnego — muszą być autentycznym gospodarzem na administrowanym terenie, nie mogą jedynie służyć za parawan dla administracji.

Jeśli ustawa o mieniu komunalnym zostanie mądrze skonstruowana, to będzie ono przynosić zyski. Myślę, że nawet gospodarka komunalna w obecnym kształcie nie musi być deficytowa i dotowana wysokimi kwotami. Wręcz przeciwnie — może przynosić zyski, jeśli zajmie się np. budową i sprzedażą mieszkań, usługami dla ludności. W skład mienia komunalnego wejdą zapewne wszystkie składniki majątkowe placówek oświatowych, zdrowotnych, administracyjnych, lasy gromadzkie, działki budowlane.

Myślę, że ze Skarbu Państwa winno się finansować ochronę zdrowia. Na tę dziedzinę nie można żałować pieniędzy. Byłabym zwolenniczką utworzenia rejonowych wydziałów zdrowia, bo obecne Zespoły Opieki Zdrowotnej są tylko pośrednikami i same o niewielu sprawach mogą decydować. Na podobnych zasadach należałoby zbudować nadzór nad oświatą, bo rozdrobnienie się na inspektoraty zwiększyło tylko liczebność kadry administracyjnej w oświacie, a nie usprawniło nadzoru. Administrowanie oświatą powinno spoczywać jednak głównie w rękach dyrektorów szkół.

Nie wyobrażam sobie przyszłych samorządów bez ścisłej symbiozy z administracją. Oczywiście głos decydujący musi należeć do ciał wybieralnych, administracja będzie pełnić rolę organów wykonawczych samorządu i musi być służebna wobec społeczeństwa. Społeczne wnioski i postulaty muszą się spotykać z życzliwą reakcją samorządów i administracji.

Mamy jeszcze dużo ludzi chętnych do pracy społecznej, do inspirowania czynów oraz ich realizacji. Jest to wielki kapitał, którego nie wolno roztrwonić. Społeczny zapał nie może rozbijać się o biurokratyczne bariery, a tak jeszcze bywa. Ludzie w swym działaniu chcą być dostrzegani, chcą wraz ze swoim środowiskiem cieszyć się tym, co podejmą i doprowadzą do końca.

W moim przekonaniu należy wybrać samorządy oddzielnie dla miast i gmin. Miasta-gminy są tworami sztucznymi, bo inne problemy mają mieszkańcy miast, a inne mieszkańcy wsi, chociaż niektóre sprawy są wspólne. Kompetencje między szczeblem wojewódzkim a podstawowym trzeba tak rozdzielić, by bezpośrednia obsługa interesantów odbywała się w mieście lub gminie, a nie gdzieś w rejonie czy na szczeblu wojewódzkim. W gestii samorządu w mieście i gminie powinno znajdować się budownictwo mieszkaniowe, geodezja, kartografia, służby rolne. Obecnie — aby uzyskać numer nowo wybudowanego domu — trzeba od nas jechać do Krynicy i tam dosyć długo oczekiwać na załatwienie sprawy.

Uważam, że nawet przy finansowej samodzielności samorządów terytorialnych nie unikniemy dotowania służby zdrowia, oświaty i budownictwa mieszkaniowego z budżetu państwa. Wydatków na te działy samorząd terytorialny nie udźwignie.

Powróćmy jeszcze do spraw administracji państwowej. Winna ona być sprawna, kompetentna, dobrze opłacana i cieszyć się autorytetem w społeczeństwie. Urzędnik państwowy musi być człowiekiem uczciwym, o wysokim morale, życzliwie traktującym interesantów. Decyzje administracyjne winny cechować się obiektywizmem i sprawiedliwością, służyć obywatelom i publicznemu dobru.

● Powstało koło Stowarzyszenia Żołnierzy Armi Krajowej obejmujące obszar całego województwa. Prezesem jest kpt. **Władysław Wietrzny** „Dęboróg", a sekretarzem inż. **Zbigniew Kmak**. Siedziba zarządu mieści się w Nowym Sączu przy ulicy Nawojowskiej 70.

● W Grywałdzie i Krośnicy przez wiele lat nadawano numery nowo budowanym domom nie według ulic lub przysiółków, lecz w kolejności wznoszenia budynków. Powstał bałagan. Kierowcy karetek pogotowia narzekają na trudności w odnalezieniu adresów. Teraz Urząd Gminy w Krościenku nad Dunajcem przymierza się do uporządkowania sytuacji.

● Krościenko nad Dunajcem będzie mieć własną spółdzielnię mieszkaniową. Załatwione są sprawy formalno-prawne. Urząd Gminy pod budowę bloków przeznacza dwa hektary gruntów. Jest szansa, że w najbliższych latach głód mieszkaniowy w Krościenku zostanie zaspokojony.

● Podczas tegorocznych obchodów Dnia Kolejarza wielu sądeczan udekorowano odznaczeniami państwowymi. Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali **Marian Bulzak** i **Józef Kucharski**, a Złote Krzyże Zasługi: **Władysława Tobiasz, Stanisław Kwaśniewski** i **Marian Ziębiec**. Do „Złotej księgi" zasłużonych kolejarzy województwa nowosądeckiego wpisano nazwiska: **Ignacego Kuci, Józefa Kucharskiego, Jerzego Orwata, Janiny Paluch, Antoniego Poręby** i **Jerzego Wróbla**.

● W Lubniu spłonął prywatny tartak. Straty są bardzo duże. Przyczyną pożaru było zatarcie łożyska w silniku elektrycznym napędzającym trak. Od rozgrzanego silnika zapaliły się trociny, a później cały tartak spłonął jak pochodnia.

ROMAN KOSTANECKI

LUCYNA KĄSZUBA

Na rozbiegu

Wyroby nowosądeckiej firmy „Asko" szybko znikały ze sklepowych półek. Starannie wykończone damskie sandały z cielęcej skóry i jesienno-zimowe kozaczki — niedługo czekały na klientki. Przyciągały niewysokie ceny: od pięciu do ośmiu tysięcy złotych kosztowało letnie obuwie i od dziesięciu do osiemnastu tysięcy złotych — kozaki. Przebojem tego sezonu były siatkowe sandały na niewysokim obcasie, sprzedawane potem na bazarach w trzykrotnie wyższej cenie. W butikach za modne klapki z twardego tworzywa płacono tyle samo co za zimowe buty z „Asko".

— *Młodzież rozchwytywała „oficerki". Moglibyśmy sprzedać każdą ilość obuwia w tym fasonie* — mówi kierowniczka sklepu przy alei Wolności. — *Obecnie są tylko resztki letnich dostaw — sandały w dużych numeracjach. Nie było reklamacji.* W sklepach przy Jagiellońskiej i Paderewskiego sprzedawczynie twierdzą, iż zdarzały się usterki w wyrobach tej firmy: reklamowano odklejające się futrówki i napiętki w kozakach. Jeszcze są sandały — trzy wąskie paseczki nie wchodzą na tęższe stopy.

W sklepach z galanterią od roku nie było saszetek i składanych turystycznych toreb z „Asko". Poprzednio — kupowano je chętnie, choć niektórzy klienci narzekali, iż składane torby są nietrwałe: zbyt cienki skóropodobny materiał nie wytrzymuje większych ciężarów.

Przed dwoma laty Kaletniczo-Obuwnicza Spółdzielnia Pracy „Asko" produkowała rocznie ponad siedemdziesiąt tysięcy par butów. Większość wyrobów wysyłano do województw tarnowskiego, krośnieńskiego i rzeszowskiego, część także do Katowic. Nowosądecki handel nie składał wielu zamówień. Spółdzielnia miała kłopoty z zaopatrzeniem w materiały, brakowało nowoczesnych maszyn, a pracownicy narzekali na niskie zarobki.

Kłopotów nie ubyło, mimo to — w 1988 roku „Asko" wyprodukowało dziesięć tysięcy par butów więcej. Przybyło zamówień od naszego handlu. Dziś Spółdzielnia kieruje na rynek województwa prawie połowę produkcji obuwniczej, zaopatruje także Kraków, Jasło i Krosno. Plan na ten rok zakłada blisko dziewięćdziesiąt tysięcy par butów.

Załoga wraz z kilkoma chałupnikami to około stu osiemdziesięciu ludzi. Większość pracuje w wydziale kaletniczym, produkującym głównie na eksport. Obuwników jest sześćdziesięciu. Kilku pracowników odeszło, nie wiadomo też, czy wszyscy powrócą z urlopów. Płace nie są tu wysokie: po podwyżkach w czerwcu — średnie wynagrodzenie wyniosło osiemdziesiąt trzy tysiące złotych. Niełatwo stać przy maszynach, w oparach klejów — przykrego zapachu nie mogą w pełni wyeliminować urządzenia wentylacyjne i odpylające. Mimo otwartych okien i wiatraków w ciągłym ruchu — w halach gorąco.

Najstarszym pracownikiem wydziału obuwniczego jest **Józef Dara**, obsługujący wykańczarkę obuwia. Czterdziestoletni staż ma brygadzista działu montażu, **Stanisław Kowalik**. — *Zaczynałem praktykę w prywatnym zakładzie, tutaj pracuję od trzydziestu ośmiu lat. To co dawniej robiono ręcznie — teraz wykonują maszyny, choć nie we wszystkim mogą zastąpić ludzi. Pracujemy na akord, każdy chce zarobić jak najwięcej. Gdy jednak przedtem mieliśmy tu dwie zmiany, teraz trzeba się nagłowić, by jedną zmianę utrzymać bez przestojów. Brakuje surowców, zwłaszcza skór.*

Mistrz wydziału obuwniczego, **Aleksander Mrówka**, chwali załogę. Mimo iż praca tu ciężka, wymaga wprawy i dokładności, a system akordowy zmusza do pośpiechu — dobrze spisują się pracownicy (także kobiety, których przybywa w wydziale). Niestety, często młodzi mężczyźni, gdy zdobędą już fach — szukają wyższych zarobków, więc odchodzą do prywatnych zakładów. Starsi pozostają w firmie. — *Chcemy dostarczać atrakcyjny towar i wprowadzać wciąż nowe wzory* — mówi Aleksander Mrówka. — *Próbna seria siatkowych sandałków miała duże powodzenie. Cóż z tego, skoro musieliśmy ją szybko skończyć; zabrakło zdobytego cudem włoskiego materiału. Przestawienie produkcji to u nas kwestia dwóch-trzech tygodni. Moglibyśmy wytwarzać sporo nowości, gdyby nie wysokie koszty: za jeden wzór płacimy sto tysięcy złotych, na serię 5-6 tysięcy par butów trzeba 800 par kopyt, a każda kosztuje kilka tysięcy złotych (tyle samo, co nasze najtańsze sandały). Dotychczas ceny wyrabianych tutaj butów były śmiesznie niskie. Wszystko drożeje — materiały i detale, muszą więc drożeć także gotowe wyroby.* Obecnie szyje się kozaczki ze skury bukatowej i tzw. sztucznej skóry, od niedawna produkowanej w kraju. Nie ma już zapasów, by wyrabiać pełne skórzane obuwie zimowe.

Przybyło kilka nowych, czechosłowackich maszyn. Myśli się o dalszej wymianie parku maszynowego. Nowa krajarka stanęła w wydziale kaletniczym, gdzie pracują głównie kobiety. Rocznie wytwarzają towary wartości stu czterdziestu milionów złotych. Węgierskiej sztucznej skóry na saszetki i torby turystyczne jest jeszcze dość w magazynie, choć poza tym — pustawo na półkach. Prezes Spółdzielni, **Roman Nowak** mówi, że najtrudniej zdobyć prawdziwe skóry; jednorazowo udaje się kupić kilkadziesiąt metrów. Podczas niedawnej „skórzanej" giełdy w Gdańsku garbarze nie chcieli zawierać umów — nie mieli pewności, czy otrzymają surowiec do przerobu. Spółdzielnia stale współpracuje z garbarnią w Lesznie Górnem (województwo zielonogórskie) — jeszcze nie wiadomo, czy garbarnia będzie mogła w pełni wywiązać się z porozumień. Dwa samochody dostawcze z „Asko" są stale w terenie, a zaopatrzeniowcy gdzie się da „żebrzą" o towar. Jakoś udaje się zwiększać produkcję. Prezes zapewnia, że tym razem — po zmianie technologii — usterek w zimowym obuwiu nie będzie. Składane torby turystyczne od lat są sprzedawane w kraju i w Związku Radzieckim. Nie przekonuje rada prezesa, by zbytnio toreb nie obciążać, choć wiadomo, że sztuczna, cienka „skóra" jest mniej wytrzymała niż płótno czy ortalion. Nie udało się spółdzielni zdobyć materiału na torby ortalionowe, lekkie i modne. Nadal planuje się ich produkcję. Opłacalny dotychczas eksport wyrobów kaletniczych do ZSRR, po krajowych podwyżkach cen także i na te produkty — przestał się opłacać. Nowe ceny eksportowe musi ustalić „Cooperexim" w Warszawie. Najnowsza partia kozaków jest już w sprzedaży w Gorlicach i Krynicy; para kosztuje teraz 39 tysięcy złotych. Na wiosnę droższe będą także sandały.

— *Musimy zarabiać, by podnosić płace i zwiększać produkcję* — mówi prezes. — *Na zebraniu Rady Nadzorczej (której przewodniczy Zofia Długosz), ustaliliśmy m.in. dwudziestoprocentowe premie miesięczne. Łatwiej teraz gospodarzyć, gdy zmniejszono z sześćdziesięciu pięciu do czterdziestu procent podatek dochodowy. Po likwidacji Krajowego Związku Spółdzielni Przemysłu Skórzanego zaoszczędzamy półtora miliona złotych z dawnych opłat na jego cele. Za konkretne usługi (pomoc w zakupie materiałów i szkolenia dla pracowników) płacimy Krajowej Spółdzielni Producentów Wyrobów Skórzanych.*

Znajdujemy się na rozbiegu. Chętnie przystąpimy do jakiejś spółki, by zapewnić sobie szybszy rozwój. Była już propozycja prywatnego przedsiębiorcy z Rzeszowa, lecz zbyt mglista, by traktować ją poważnie. Zarysowała się możliwość współpracy z Nowotarskimi Zakładami Przemysłu Skórzanego „Podhale", dla których — po zatrudnieniu dodatkowych trzydziestu ludzi — moglibyśmy szyć cholewki butów. Na razie są to plany. Nie została jeszcze uruchomiona garbarnia w Bieżanowie — dostawca skór na potrzeby tej kooperacji. Wiemy, że spółdzielnie w Starym Sączu, Limanowej i Mszanie Dolnej są zadowolone ze współpracy z nowotarskim kombinatem. Czekamy cierpliwie. Wiele kłopotów zaopatrzeniowych rozwiązałoby utworzenie w województwie skupu skór surowych — w Nowym Targu i w garbarni „Chełmka" przerabiano by je dla naszej Spółdzielni.

Staramy się zaspokajać potrzeby sądeckiego rynku. Nie wiem jednak, czy nie będziemy zmuszeni kierować naszych wyrobów w inne regiony, w większych niż dotychczas ilościach. Po kilka tygodni czekamy na pieniądze za sprzedany towar. Handel zwleka. Za surowce płacimy gotówką, a zaciągane kredyty kosztują zbyt drogo — siedemdziesiąt pięć procent odsetek rocznie. Jeśli handel nadal będzie nieterminowo płacić — zażądamy także wysokich odsetek za zwłokę. Dziś liczy się każda złotówka.

Piszą do nas

Przedstawione względy natury ogólno-społecznej zdecydowały o zajęciu podanego powyżej stanowiska przez Prokuraturę.

Od redakcji: Publicznie znieważono głowę państwa. Pies z kulawą nogą nie zareagował na to zdarzenie. Dopiero notatka prasowa zdopingowała Prokuraturę do zajęcia stanowiska. Otrzymaliśmy wywód o pojednaniu, o konstruktywnych siłach, o potrzebie wyrozumiałości. Pięknie! Ale co to ma wspólnego z istotą sprawy?

Do tej pory zapewniano nas w Prokuraturze, że społeczeństwo niesłusznie kojarzy tę instytucję wyłącznie z represjami. Opowiadano o sprawdzonych formach zapobiegania naruszeniom prawa — o rozmowach ostrzegawczych, o wystąpieniach profilaktycznych... Dlaczego teraz nagle zapomniano o tych *sprawdzonych formach?*

Między represją karną a *nic-nie-robieniem* rozciąga się spory obszar dla różnorakich działań perswazyjnych. Pozostawienie tego obszaru odłogiem — nikomu korzyści nie przyniesie.

Odkąd „Solidarność" jest częścią oficjalnej rzeczywistości politycznej, musi respektować prawo. Jak wszystkie podmioty życia publicznego. A kiedy popełnia błąd, należy jej to wytknąć, nawet zakładając, że na razie odpowie agresywnie i nerwowo. Już nikt w Polsce nie jest wyłączony spod krytyki.

● Dyrektor Wydziału Handlu w Urzędzie Wojewódzkim, **Alfred Malinowski**, w piśmie do dyrektora Izby Skarbowej:

Do tutejszego Wydziału napływa wiele niepokojących sygnałów dotyczących stosowania bardzo wysokich cen na mięso i jego przetwory w porównaniu z cenami skupu żywca. Między innymi w tygodniku „Dunajec" z 3 września br. w rubryce „Piszą do nas" czytelniczka z gminy Korzenna kwestionuje rzetelność przeprowadzenia urynkowienia gospodarki żywnościowej.

Ponieważ redakcja tygodnika zwróciła się, by w sposób fachowy rozpatrzyć te uwagi czytelniczki — uprzejmie proszę Obywatela Dyrektora o wszechstronne przeanalizowanie tego problemu i zajęcie kompetentnego, obiektywnego stanowiska w tym zakresie.

Ze swej strony deklaruję chociażby taką pomoc organizacyjną, że już przesyłam w załączeniu aktualnie sporządzoną i obowiązującą kalkulację na skup, ubój, rozbiór i produkcję szeregu wyrobów w ZZRPH „Igloopol" w Dębicy, Zakłady Mięsne w Nowym Sączu, które są głównym dostawcą masy mięsnej w województwie nowosądeckim.

Jednocześnie pragnę zaproponować, by udzielona przez Obywatela Dyrektora odpowiedź na łamach prasy zawierała w sposób obrazowy składniki tej ceny, tj. faktyczne koszty bezpośrednie np. uboju, rozbiórki, przetwórstwa, jak i pośrednie — zwłaszcza koszty administracyjne, wysokość udziału różnorodnych podatków, dotacji oraz stosowanych marż handlowych.

Dodatkowo informuję, że problematyka ta odnosi się również do artykułów mleczarskich, w których powszechnie niezrozumiałym jest fakt, że województwo nowosądeckie — choć potentat w skupie mleka — stosuje wyższe ceny detaliczne na te produkty, aniżeli np. pobierane są na terenie Krakowa, gdzie ponadto nie stosuje się specjalnej dopłaty, tzw. dodatku górskiego. Przykładowo podaję, że cena twarogu tłustego wynosiła w Krakowie 940 zł/kg, a w Zakopanem 1256 zł/kg. Cena masła Ekstra świeżego wynosiła w Krakowie 3 640 zł/kg, w Zakopanem 4 640 zł/kg.

● Wiceprezes sądeckiego „Społem", mgr **Piotr Krok**, po publikacji red. Zofii Szlachty pt. „Pochwała lakomstwa" wyjaśnia:

Bar Mleczny „Smakosz" prowadzi działalność gastronomiczną w lokalu usytuowanym w starym budownictwie. Mury placówki są zagrzybione, ciągła wilgoć ulatniająca się w czasie gotowania dużych ilości potraw i napojów pogłębia istniejący stan. Zapach wynikający z zagrzybienia zakładu oraz ulatniający się w czasie gotowania powoduje, że posiadana przez zakład wentylacja nawiewno-wyciągowa, jak również stosowana wentylacja naturalna, nie zabezpieczają prawidłowego wietrzenia placówki.

Bezpośrednie połączenie części produkcyjnej zakładu z salą konsumencką nie sprzyja likwidacji zapachów ulatniających się z pomieszczeń produkcyjnych. Ze względów lokalowych nie ma możliwości uzupełnienia wentylacji jak również poprawy istniejącej sytuacji.

Zapewniamy, że pojemniki z odpadkami pokonsumpcyjnymi są bieżąco przykrywane, a ścierek w zakładzie nie gotuje się. Zapachy panujące w zakładzie są następstwem gotowania różnorodnych potraw i napojów mlecznych.

Za słowa uznania dla asortymentu sprzedaży i jakości produkcji — dziękujemy.

● Dyrektor oddziału wojewódzkiego Banku Gospodarki Żywnościowej, mgr **Jan Ociepka** informuje, że Rada Banku przyznała kolejną już, czwartą dotację z funduszu samorządowo-społecznego w wysokości miliona złotych na budowę hali sportowo-widowiskowej w Nowym Sączu.

Jaka partia?

Rozmowa rozkręca się powoli. Najpierw jest trochę narzekania na sytuację gospodarczą. — *Co ludzi najbardziej boli?* — zastanawia się się Stanisław Ślęzak. — *Myślę, że nie tylko braki na rynku, ale i tolerowanie przez władze różnorodnych form spekulacji, kryjących się pod płaszczykiem pośrednictwa, spółek, butików itp. A takie nieprzemyślane decyzje, jak ostatnia podwyżka cen paliw? Ludzie wiedzieli, że będzie, więc bloki mieszkalne i garaże pozamieniały się w bomby grożące w każdej chwili wybuchem nagromadzonych tam zapasów benzyny. Nasuwa się również pytanie, o ile ta podwyżka nakręci podwyżki cen wszystkich artykułów na rynku?*

Zofia Czech: — *Dlaczego ustępujący rząd uległ naciskom i pozwolił na urynkowienie gospodarki żywnościowej? Czy nie umiano przewidzieć skutków tej operacji? Teraz coraz częściej słyszymy, że jest to celowe uderzenie w społeczeństwo, że winna — któż by inny? — nasza partia. My tu, na dole, musimy wysłuchiwać tych oskarżeń. Jak mamy je odpierać?*

I jeszcze jedno: obserwujemy galopadę cen, a jednocześnie bezmyślne marnotrawienie produktów i surowców. Czy na przykład nie można przeceniać artykułów spożywczych zanim staną się niejadalne? Jak długo do sklepów będzie trafiać tyle bubli?

Jeszcze chwilę toczy się dyskusja, czy ceny powinny być tak zróżnicowane jak są, czy powinny znajdować się w sprzedaży artykuły bardzo drogie, nie na kieszeń przeciętnego klienta, czy też normalna jest sytuacja, iż jednych stać, innych nie stać na szynkę lub sweter z „Mody Polskiej". Żadna jednak „urawniłowka" nie wychodzi na dobre ani społeczeństwu, ani rynkowi. Mówi o tym, między innymi, Wiesław Grabowski. Jego wypowiedź można sprowadzić do krótkiego zdania: — *Nie da się na dłuższą metę utrzymać fikcyjnej zasady równych żołądków czy jednakowych potrzeb.*

Leonard Wrzosek przypomina, że właśnie lekceważenie prawideł ekonomicznych było jednym z kardynalnych błędów naszej polityki.

I tak rozmowa nakierowuje się na temat: jaka jest partia, jaka być powinna, co musimy odrzucić, bo jest złe, czasem wręcz niebezpieczne i dla niej samej, i dla społeczeństwa.

Leonard Wrzosek: — *Mieliśmy wspaniałe cele strategiczne, ale okropną taktykę.*

Emilia Tobiasz: — *My na dole ciągle nie wiemy, co się dzieje na górze. Nie znamy motywacji różnych decyzji. Ktoś za nas i podobno dla nas decyduje i nawet nie wie, że podcina gałąź, na której siedzimy.*

Zofia Czech: — *Na górze toczy się walka o stanowiska, o stołki. My o niej nie mamy pojęcia, ale jej skutki, często fatalne, na nas spadają i my się za nie musimy tłumaczyć.*

Aby partia mogła odzyskać zaufanie społeczne, a także swą siłę, konieczne jest przede wszystkim rozejrzenie się po własnych szeregach i wyciągnięcie rzetelnych wniosków, choćby to miały być wnioski bolesne. Stanisław Ślęzak mówi: — *Najpierw, i to szybko, musimy się oczyścić z tych towarzyszy, którzy doprowadzili Polskę do obecnego stanu.* — Zofia Czech uzupełnia: — *Nie potrzebni nam również w partii statyści. Ilość nie przechodzi w siłę.*

Maria Wojtarowicz zastanawia się co zrobić, aby nie zmarnować wysiłku rzeszy ludzi, którzy w partii działali — nie zawsze przecież bezowocnie. Nie zaprzepaścić ich ogromnego doświadczenia, nie wylać dziecka z kąpielą.

Dużo uwagi rozmówcy poświęcają przyszłemu kształtowi PZPR, a więc głównym celom, na których powinno się skupić jej działanie, jej miejscu w społeczeństwie, w zakładzie pracy. Stanisław Ślęzak: — *Musimy się stać partią walczącą o byt ludzi pracy, tych, którzy żyją z zarobków uzyskanych w zakładzie.* — Franciszek Florczyk: — *Tak, musimy sobie odpowiedzieć na podstawowe pytanie — co to jest partia, kogo ma bronić i przeciw komu? Jaki powinniśmy wypracować program, abyśmy zdołali wokół niego skupić ludzi? Musi to być program na miarę prostego człowieka.* Wiesław Grabowski: — *Sami członkowie PZPR muszą się wypowiedzieć, jakiej partii rzeczywiście chcą. Teraz — i na jutro.*

Tylko nasuwa się pytanie — jak dziś zebrać organizację partyjną, jak ją ożywić, pobudzić do działania, skoro (jest to opinia Wiesława Grabowskiego) partia została odgórnie odsunięta od wszelkiego decydowania? Skoro w zakładzie pracy o wszystkim stanowi rada pracownicza i związek zawodowy, a organizacje partyjne nie mają wsparcia często nawet ze strony kierownictwa zakładu? Skoro — jak twierdzi Zofia Czech — kierownik zakładu sekretarza partii wręcz lekceważy?

Władysław Grabowski jest za tym, by zmienić zasady naliczania składek, część tych pieniędzy pozostawić do dyspozycji POP lub komitetów zakładowych. Barbara Pietryka — gospodyni spotkania — informuje, że Komitet Miejski podejmuje próby działalności gospodarczej. Jest to trudne, gdyż Komitet nie ma osobowości prawnej, zawiązało się jednak Nowosądeckie Towarzystwo „Postęp" i gdy zostanie zarejestrowane, będzie mogło wesprzeć partię. Myśli się na przykład o odpłatnym wypożyczaniu środków transportu, wykorzystaniu sprzętu audiowizualnego itp.

Wśród zadań najważniejszych i najpilniejszych dla partii wymieniano potrzebę kształtowania postaw młodzieży. Zatrważający jest brak patriotyzmu części młodych, odrzucanie autorytetów, zanik szacunku dla prawa. Władysław Grabowski: — *Zadaniem partii powinno być kształtowanie uczciwego człowieka.*

Zastanawiano się również, czy za wszelką cenę należy zachować jedność partii, czy raczej się podzielić na — chociażby partie polskich komunistów oraz socjalistów? (Maria Wojtarowicz). A może (to zdanie Leonarda Wrzoska) powinna to być partia wszystkich sił polskiej lewicy zjednoczonej przeciw siłom prawicy? Zgadzano się natomiast, że zmienić należy nazwę partii. Wskazywano, iż na przykład w Nowym Sączu robotnicy stanowią jedynie 39 procent członków.

Czy można mówić o przejściu partii do opozycji w państwie? Zdaniem uczestników spotkania — nie. Władysław Grabowski tak to ujął: — *Opozycją możemy być tylko w tym sensie, że będziemy wytykać błędy, natomiast winniśmy popierać te wszystkie siły i działania, które służą dobru narodu. Nie obrażajmy się na ZSL ani SD za ich „zdradę", bo pamiętamy, jak te stronnictwa były przez nas traktowane. Cóż się więc dziwić, że sięgnęły po szansę umocnienia swej pozycji? Uważam, że musimy dążyć do zgody — jako cząstka polskiego narodu. To przyspieszy wyjście kraju z kryzysu, a partii zyska uznanie, które pozwoli wygrać naszym kandydatom w przyszłych wyborach.*

Na koniec jeszcze jedna istotna sprawa: czy partia powinna się odciąć od swej przeszłości? Maria Wojtarowicz: — *Nie należy brać wody w usta, lecz konsekwentnie przypominać prawdę, która nie zawsze świadczy na naszą niekorzyść.* Leonard Wrzosek: — *Prawda, że mieliśmy osiągnięcia, ale i popełniliśmy wiele błędów, zbłaźniliśmy się poważnie przed narodem. Z tym wszystkim możemy jednak nosić wysoko głowy, bo to przecież partie i ruchy socjalistyczne w świecie potrafiły wymusić na kapitalistach różne socjalne zdobycze. To socjalizm przeistoczył narody, przeistoczył ludzkie umysły.*

★ ★ ★

Spotkanie, które zgromadziło działaczy partyjnych z Nowego Sącza, było ożywione, opinie chwilami kontrowersyjne. Sądzę jednak, że warto je odnotować jako obraz dzisiejszego myślenia o partii, o jej przyszłości.

ELŻBIETA GLINKA

KACik pptk. Glińskiego

„Handlowcy"

Deko handlu to ponoć interes lepszy niż kilo roboty. Tak przynajmniej uważali Jerzy P. i Tadeusz Ł., wywodzący się z województwa opolskiego. Jerzy P. był właścicielem prywatnego zakładu. Wytwarzał galanterię drzewną — wieszaki, kwietniki i inne drobiazgi, które sprzedawał po okolicznych targowiskach. W końcu jednak znudziło mu się zbijanie klepek — czynność dająca wprawdzie pieniądz niezły, lecz nie taki, by olśnić sąsiadów, którzy wrócili z saksów. Jerzy P. swą szansę zwietrzył w handlu. Wiadomo przecież, jak wygłodniały jest obecnie rynek. Za przedmiot swej przedsiębiorczości obrał meble.

Na Opolszczyźnie funkcjonuje, i to w miarę sprawnie, parę zakładów meblowych. Jerzy P. począł szukać znajomych wśród miejscowych kierowników sklepów i jakimiś sposobami (możemy się domyślać, jakimi) zapewnił sobie informację o planowanych dostawach towarów. Na otrzymany sygnał ustawiał się w kolejce i zakupywał meble na siebie, kogoś z rodziny lub znajomych. W znalezieniu rynku zbytu pomógł mu przypadek. Któregoś dnia, stojąc przed jednym ze sklepów, wdał się w rozmowę z kierowcą samochodu dostawczego o rejestracji nowosądeckiej. Dowiedział się, że na tamtejszym terenie uzyskać można przebicie ponad 100-tysięczne. Było więc o co zabiegać. Do pomocy w spekulacyjnym handlu meblami przybrał sobie Tadeusza Ł., który dysponował rzeczą bardzo istotną — samochodem ciężarowym z przyczepą. Tadeusz Ł. usłyszawszy warunki przedstawione przez Jerzego P. przystąpił do spółki bardzo chętnie. W komitywę wciągnięto jeszcze Andrzeja G., który mógł firmować różne transakcje, miał odpowiednią krzepę do prac załadowczo-rozładunkowych i nie wymagał wielkiego wynagrodzenia — ot, byle starczyło na wódkę.

Ekipa w wyżej wymienionym składzie obrała pewnego dnia kurs w Nowosądeckie. Towar wyeksponowano na miejskim targowisku. Szybko znalazł się pierwszy nabywca, a wkrótce po nim inny, który zaproponował kupno od ręki pozostałych trzech kompletów do Starej Wsi koło Limanowej. Przy okazji jeszcze Tadeusz Ł. i spółka zebrali zamówienia na kolejną partię zestawów mebli, tym razem dla odbiorców w Kamienicy.

Ta pierwsza wyprawa i następne przyniosły im niezłe zyski. Apetyt rósł więc w miarę kolejnych transakcji. Załatwiono następną partię mebli — pokojowych i kuchennych — i nocą wyruszono w kierunku Nowego Sącza. Rankiem samochód o rejestracji opolskiej był już na targowisku. Tadeusz Ł. zarządził ustawienie meblowej ekspozycji, własnoręcznie wypisał ceny. Po jakimś czasie meblami zainteresowało się dwóch mężczyzn. Pooglądali je ze wszystkich stron, zapytali jeszcze raz o cenę, a potem... wyciągnęli milicyjne legitymacje. Tadeusz Ł. i spółka musieli przywieziony majdan spakować i udać się z nim pod budynek RUSW. W trakcie podjętych czynności wyjaśniających milicja ustaliła, że opolska ekipa na zestawach pokojowych chciała zarobić po 120 tys. złotych, a na kuchennych po 80 tys. złotych. Pomnożone to wszystko przez cztery dawało jednorazowy nielegalny zysk Tadeusza Ł. i spółki. Meble jednak zostały zajęte jako dowody rzeczowe, zysku nie było, a kłopoty dopiero się zaczęły. Sprawa spekulacyjnej sprzedaży trafi bowiem do Sądu. Deko handlu okazało się kilogramem kłopotów.

Stali bywalcy targowicy od jakiegoś czasu widzieli, że w centralnej części placu poczesne miejsce zajmował samochód osobowy o rejestracji z województwa bielskiego. Bagażnik na dachu załadowany był metalowymi karniszami do firanek i zasłon. Wokół samochodu gromadziło się z reguły sporo osób. Szef i właściciel interesu zachowywał się jak wyedukowany subiekt z ekipy Rzeckiego. Oferowany do sprzedaży towar zachwalał jak umiał najlepiej, zaś specjalne życzenia ewentualnego nabywcy odnotowywał skrupulatnie w podręcznym notesie. Po dwóch, trzech godzinach, zamieniwszy metalowe listwy na złotówki, zwijał interes z powodu wyczerpania możliwości handlowych.

Aż pewnego dnia funkcjonariusze RUSW zapytali właściciela interesu na kółkach o uprawnienia handlowe. Wyciągnął on dokument o nazwie „decyzja", wydany przez stosowny urząd w Wadowicach. Z dokumentu wynikało, że niejaki Ryszard M. ma uprawnienia do wstrzeliwania kołków i uszczelniania okien. Nic jednak nie było tam na temat handlu obwoźnego i zarabiania dość słono na tzw. metrze bieżącym karnisza. A Ryszard M. zakupywał karnisze (ponoć bez trudu) w sklepie przyfabrycznym Zakładu Metali Nieżelaznych w Czechowicach i wywoził w Nowosądeckie, gdzie handel uspołeczniony miał i ma trudności obiektywne w sprowadzaniu tego atrakcyjnego towaru. Obrotny handlowiec doliczał osobistą marżę w kwocie około 1000 zł za metr i interes kwitł przez blisko trzy miesiące.

Gdy po czerwonej „skodzie" pozostało na placu puste miejsce, usiłował je zająć w kolejny dzień targowy Alfons W., który do Nowego Sącza przyjechał z województwa wałbrzyskiego. Zaparkował „poloneza" na skraju placu, po czym wytaszczył dwie ciężkie paczki zawierające kotły grzewcze gazowe niskotemperaturowe i towar ów wystawił do sprzedaży. Chętnych nabywców kotłów było wielu, lecz wszystkich odstraszała cena: za jeden kocioł Alfons W. żądał bowiem 1 milion 300 tys. złotych. Któryś z potencjalnych nabywców podjął trud dogadania się ze sprzedawcą, lecz mimo długich targów do uzgodnienia kwoty ostatecznej nie doszło. Wyczyny sprzedawcy obserwowane były z oddali przez dwóch funkcjonariuszy MO występujących po cywilnemu. Solidarność zawodowa zadziałała i ktoś z miejscowych dał sprzedającemu znać, że jest obiektem zainteresowania. Alfons W. zwinął natychmiast kram, lecz nie uniknął zatrzymania. Miał przy sobie paragony na zakup kotłów — po 720 tys. zł. Niedoszły zysk obrotnego handlowca miał więc wynosić blisko pół miliona złotych. To jest przebicie!

JACEK SOWA

GÓRALENVOLK (5)

Separatystyczny ruch góralski miał znaleźć swe odbicie m.in. w akcjach spisów ludności na Podhalu, które powinny udowodnić odrębność ludności zamieszkującej te tereny od ludności polskiej. Po memoriale listopadowym — pierwszy spis ludności góralskiej odbył się w czerwcu 1940 roku. Poprzedzony został masowymi aresztowaniami w kręgach inteligencji podhalańskiej, zwłaszcza nauczycieli (3-9 maja). Do ankiet spisowych po raz pierwszy wprowadzono rubrykę: *narodowość góralska*. Spisy te prowadzono w związku z akcją zakładania szkół góralskich (o czym będzie jeszcze mowa), przy dużej dezorientacji ludności góralskiej, nie pojmującej politycznych zabiegów i wyrafinowanych niuansów spisowych. Przyniosły one i tak stosunkowo mierne wyniki, co wywołało zaniepokojenie władz okupacyjnych. Toteż nowotarski Kreishauptmann Malsfey, od samego początku zaangażowany w ruch „Gorallenvolku", niezwłocznie zorganizował narady robocze z udziałem głównych „ideologów" — Wiedera i Szatkowskiego, mające na celu poprawę efektów ich działalności.

Według konspiracyjnej prasy (np. wydawanego w Krakowie „Dzwonka Polskiego") wynika, że czerwcowy spis w Zakopanem zakończył się fiaskiem, po stronie narodowości góralskiej zadeklarowało się tylko 35 procent ankietowanych, mimo przemyślnych metod spisowych (nietrudno było od rdzennego górala uzyskać oświadczenie, że jest góralem...).

Z końcem 1941 roku rozpoczęła się akcja wydawania kart rozpoznawczych — pierwszy poważny etap zamierzeń germanizacyjnych wobec podbitego narodu polskiego. Dopiero co utworzony Komitet Góralski miał być pierwszą instancją wykonawczą w realizacji hitlerowskiego planu.

Przejawy niesubordynacji spisowej w zamkniętym administracyjnie rejonie groziły wysiedleniem. Prawo przebywania tu mieli tylko mieszkańcy zasiedleni na stałe — a więc górale. Kto nie deklarował przynależności góralskiej, mógł być ze społeczności tej relegowany i — jak to wyraził „Wacek" Krzeptowski — *będzie musiał wziąć 20 kilko na plecy i won z Podhala!*

Uległym obiecywano natomiast zwiększone przydziały żywnościowe, ulgi lub nawet zwolnienie od wysyłki na roboty do Niemiec. Efekty były jednak mizerne. W pierwszych dniach w Zakopanem po kennkartę z literą „G" zgłosiło się zaledwie 7 osób, w Kościelisku zaś, skąd pochodził „Góralski Książę" — 4! Z podobnymi oporami rozwijała się akcja w innych rejonach powiatu nowotarskiego, zaś odsetek pobranych kart góralskich wyniósł nie więcej niż 5 procent. Wydawanie kart wstrzymano. Wśród liderów Komitetu Góralskiego zapanowała konsternacja, oberwało się im także od władz niemieckich. Analizowano przyczyny niepowodzenia. Postanowiono od lokalnych władz administracyjnych przejąć obowiązek wydawania kennkart „G" i scedować go na Delegatury Komitetu Góralskiego, co jeszcze bardziej zwiększyło chaos towarzyszący akcji. Powstał bowiem dylemat — kto, gdzie i po jaką kartę ma się zgłaszać. Ale o to chyba właśnie działaczom „Gorallenvolku" chodziło. Do każdego punktu wydającego kennkarty przydzielony został z ramienia „Goralisches Komitee" mąż zaufania, który arbitralnie rozstrzygał, komu jaką kartę wydać. Sprawa była przesądzona, gdy właściciel posiadał nazwisko góralskie czy bodaj powszechne na Podhalu.

Jak pisał Włodzimierz Wnuk — w lokalu Zarządu Miejskiego w Zakopanem dochodziło do dramatycznych scen w związku z narzucaniem „góralskich" kart rozpoznawczych. Były też akty zbiorowego protestu przeciw metodom wydawania kart, jak choćby demonstracja kilkudziesięcioosobowej grupy mieszkańców Olczy. Były też sytuacje tragikomiczne, gdy mieszkańcy Podhala szukali sposobu przeciw przyjęciu tego kuriozalnego „obywatelstwa". Przemeldowywano się więc do innych gmin powiatu, aby uzyskać dowód polskości, bądź wyczekiwano na moment nieobecności w urzędzie „góralskiego" męża zaufania. Około 400 kart rozpoznawczych czekało dłuższy czas na odebranie w Zakopanem, bowiem ich właściciele kategorycznie uchylali się od tego obowiązku. Oporni najczęściej trafiali na czarną listę Arbeitsamtu, stamtąd już do Rzeszy było niedaleko...

Jednakże metody nacisku uczyniły swoje, gdyż na administracyjnym obszarze Zakopanego wydano 2689 kennkart góralskich wobec 8050 polskich. Ale gdy w okresie późniejszym akcja Komitetu straciła na rozmachu, wielu posiadaczy kart „G" wyrabiało sobie karty polskie. System wydawania kart rozpoznawczych podobnie przedstawiał się w innych częściach powiatu. Przy odbieraniu i rozpatrywaniu wniosków obecnych było zazwyczaj po dwóch „mężów zaufania", którzy powołując się na zarządzenia niemieckie z góry decydowali o przynależności. Co prawda zarządzenie to było wymysłem Komitetu, niemniej jednak szef Wydziału Politycznego w nowotarskim starostwie komunikował, że obowiązek przyjęcia kennkarty z literą „G" ciąży na każdym obywatelu urodzonym na terenie powiatów nowotarskiego, nowosądeckiego, limanowskiego, a nawet myślenickiego. Gdy Malsfey oficjalnie ogłaszał dobrowolność przyjmowania takiej czy innej przynależności, wiecom organizowanym na rzecz wysiedlania ludności „niegóralskiej" czy przydzielania góralom ulg gospodarczych, towarzyszyła zawsze „delikatna" opieka gestapo. Konfidenckie macki rozciągnięto po całym Podhalu, toteż zausznicy „Goralisches Komitee" starali się sterroryzować całą ludność podhalańską. Były jednakże miejscowości, gdzie urzędy wójtów i sekretarzy gmin sprawowali ludzie dzielni i uczciwi, tam możliwości oszustw popełnianych przez „mężów zaufania" były daleko mniejsze.

W Bukowinie Tatrzańskiej wydano aż 1675 kennkart polskich, których notabene brakło, gdyż chętnych było więcej. Kart „G" pobrano tylko 54, a w większości odebrali je ci, którzy mieli nóż na gardle.

W gminie Szaflary na 8432 mieszkańców (z czego około 5000 uprawnionych do posiadania kennkarty) góralskich kart wydano tylko 167; wśród osób z kartami „G" nie brakło kryminalistów i różnego autoramentu mętów społecznych. W gminie Łopuszna na 2330 kart polskich wydano 180 góralskich, w gminie Czorsztyn na 2176 polskich — góralskich było 62. W gminię Krościenko na 2600 polskich kart — tylko 63 były góralskie, w tym dla kilkunastu analfabetów oraz 16 baptystów z Grywałdu. W gminie Ludźmierz na 1925 kart polskich — 210 wydano z literą „G", przy czym widoczny był tu wpływ propagandy skierowanej na ludność napływową, pracującą w instytucjach z niemieckim zarządem. Podobnie było w gminach: Chochołów, Biały Dunajec z Poroninem, Odrowąż czy Ochotnica — nazwanej stolicą partyzanckiej republiki. Jest rzeczą znamienną, że proporcje te dotyczą gmin posiadających najczystsze, najbardziej rdzenne, góralskie wioski. W ośrodkach miejskich zaznaczał się silniejszy wpływ Delegatur „Goralisches Komitee", w Zakopanem, Nowym Targu, Rabce, Szczawnicy — gdzie były siedziby gestapo czy inne placówki okupanta — uległość ludności była większa. Większa tym bardziej, im silniejsze były wpływy napływowych, prominentnych „ceprów". I tak jak ogromną rolę w Zakopanem odgrywał dr Szatkowski, w Nowym Targu motorem akcji wydawania kart był urzędnik „Społem" rodem z... Sosnowca, w Rabce sekretarzem delegatury był mecenas wywodzący się spod Rzeszowa.

W Rabce na około 3200 wydanych kennkart polskich — 110 było góralskich, jednakże „przy okazji" wymordowano około 200 Żydów, a w czerwcu 1942 dokonano masowych aresztowań Polaków (ok. 250 osób).

W Nowym Targu polskich kart wydano 5326, z literą „G" było 2280. Na terenie powiatu nowotarskiego tylko w trzech gminach wyniki rozdziału kart rozpoznawczych były zgodne z intencją okupanta i działaczy „Komitetu" — w gminach Kościelisko, Ciche i Szczawnica. Cyfry są tu tak przygniatające, że nie mogą nie wzbudzać podejrzeń. I tak: w Cichem (sąsiednia gmina to także rdzenny góralsko Biały Dunajec) — 90 procent kennkart było góralskich (w B. Dunajcu niecałe 10 procent). Bliźniacze Szczawnicy Krościenko zanotowało jedynie 2 procent, podczas gdy w Szczawnicy góralskie karty posiadało 92 procent mieszkańców. Szczawnica była silnie obsadzoną przez gestapo (12-osobowa placówka) miejscowością przygraniczną z komisariatem Grenzschutzu oraz przez pewien okres szkołą żandarmerii. Solidne więc oparcie miał tu aktywny działacz „Gorallenvolku", członek Komitetu — Tadeusz Kęsek, który w ścisłej współpracy z gestapo i gronem zauszników z Urzędu Gminy (m.in. ze swoim bratem) kierował akcją wydawania kennkart w sposób tak „sugestywny", że wyniki przeszły najśmielsze oczekiwania. W Szczawnicy zabrakło grupy odważnych ludzi, zwłaszcza w gronie inteligencji, która potrafiłaby zorganizować skuteczny opór, jak miało to miejsce w Krościenku. Trudno zresztą to jednoznacznie ocenić, wszakże Szczawnica podczas okupacji była ważnym ośrodkiem podziemnej akcji na południu, drugim obok Zakopanego punktem przerzutowym na kurierskim szlaku. Rodowici szczawniczanie byli niezawodni jako przewodnicy i kurierzy. Wielu z nich trafiło do partyzantki, wielu wylądowało za drutami obozów koncentracyjnych — m.in. ksiądz kanonik Matras — wielu nie dożyło wyzwolenia.

Akcja wydawania kennkart z literą „G" ograniczyła się w zasadzie do powiatu nowotarskiego, na dalsze rozszerzenie jej zabrakło i czasu, i ochoty. Na ogólną ilość wydanych 150 000 kart — góralskich było tylko około 27 000, a i to za sprawą wspomnianych matactw i fałszerstw.

(cdn.)

W listopadzie 1939 r. Hąns Frank odwiedził Podhale (zdjęcie z archiwów Generalnego Gubernatorstwa)

WIEŚ NA UBOCZU

Redakcję „Dunajca" zaproszono na tegoroczne dożynki do Brunar. Pisaliśmy już o barwnej uroczystości święta plonów, pora teraz zrelacjonować, o czym mówiono przy suto zastawionym, dożynkowym stole. Okazja do poznania sukcesów i trosk życia wsi była przednia: tegoroczny gospodarz święta plonów, **Jerzy Stach**, gościł u siebie miejscową władzę: wybraną po raz drugi na sołtyskę Brunar **Walerię Kościelną**, przewodniczącego rady sołeckiej **Zygmunta Stolarczyka** i naczelnika gminy Uście Gorlickie, **Jana Krynickiego**. Rozmowa toczyła się wartko, przeplatana grą i śpiewaniem zaproszonych na biesiadę „Kicerzoków".

Mieszkańcom Brunar nie można zarzucić, że są tej ziemi obcy. Owszem, większość z nich przyjechała do opuszczonej wsi po 1947 roku, ale przecież ściągnęli tu z niedalekiej, podgrybowskiej Kąclowej, Gródka czy Ropy. Przyjechali — i wzięli się do pracy. Jak wspomina Waleria Kościelna, pierwszym wspólnym przedsięwzięciem był klub — dzisiejszy Wiejski Ośrodek Kultury: mały, ciasny, drewniany budynek, który od czterdziestu lat dobrze służy wsi. — *Ludzie chętnie i dziś pracują społecznie, bo wiedzą, że nie ma co się oglądać na pomoc z zewnątrz* — mówi sołtyska. Takim społecznym zrywem założono wodociąg, a że apetyt w miarę jedzenia rośnie — powstał niedawno komitet gazyfikacyjny i telefonizacyjny. Jeśliby zamierzenia się powiodły, byłby to dla mieszkańców Brunar olbrzymi skok ku cywilizacji.

Od roku wieś żyje jednak innym, ważniejszym przedsięwzięciem: budową szkoły. Nie jest to sprawa ambicji, ale konieczność. Dzieci uczą się w czterech odległych od siebie, starych budynkach, wiele czasu zajmuje przechodzenie klas z jednej pracowni do drugiej, szczególnie uciążliwe zimą. W latach sześćdziesiątych miała powstać w Brunarach „tysiąclatka": zrobiono interesujący projekt, zdobyto środki — zamierzeń jednak nie zrealizowano, a fundusze posłużyły do budowy szkoły w Wójtowej. Teraz ludzie postanowili, że muszą tworzyć fakty dokonane: własnym transportem zwieźli 50 metrów sześciennych budowlanego drewna, zdobyto siedem ton drutu zbrojeniowego, jeśli zaś zapał nie ostygnie, a pogoda pozwoli — jeszcze w tym roku wylejają ławice. Z funduszami za to gorzej. Urząd Gminy wysupłał drżącą ręką 12 milionów złotych (naczelnik Krynicki: — *Gmina nie jest uprzemysłowiona, zyski czerpiemy prawie wyłącznie z działalności geesu*), o resztę musi się wystarać wieś — choćby poprzez znalezienie bogatego sponsora. Możliwe, że część kosztów pokryje polonijny klub „Watra" z Antwerpii, z którym udało się nawiązać przyjacielskie kontakty. Wieś liczy niespełna 130 gospodarstw. Nawet jeśliby mieszkańcy znacznie się opodatkowali, uzbierana suma nie będzie wielka.

W dość rozległych Brunarach są tylko dwa — prowadzone przez GS — sklepy, a i tak jeden ma być zlikwidowany. Po byle drobiazg już dziś jeździ się do Uścia Gorlickiego albo dalej, do Grybowa i Gorlic. Choć położona na uboczu, wieś nie jest pustynią kulturalną. To prawda, że prócz niewielkiej salki w Wiejskim Ośrodku Kultury ćwiczyć właściwie nie ma gdzie, ale nie przeszkadza to dziecięcemu zespołowi „Kiczera" uczyć się regionalnych pieśni i tańców. Także przygrywające nam „Kicerzoki" to przeważnie mieszkańcy Brunar.

Na ostatek kilka zdań o gospodarzu tegorocznych dożynek, Jerzym Stachu. W latach siedemdziesiątych wyjechał na Śląsk, imał się różnych zajęć — między innymi pracował pod ziemią, w kopalni. Jak sam mówi, w rodzinne strony przygnało go zamiłowanie do ziemi. Trzy lata temu osiedlił się w Brunarach, z rozmachem rozpoczął gospodarowanie i dziś jest właścicielem dwóch dużych, częściowo zmechanizowanych chlewni, w których hoduje półtorej setki tuczników. Choć doglądają zwierząt tylko we dwoje z żoną, w chlewniach porządek, jakiego nie zobaczy się w niejednym domu. Wysiłek państwa Stachów zauważono i doceniono — Jerzy Stach został wojewódzkim wicemistrzem produkcji żywca wieprzowego za 1988 rok. Pomimo gospodarskich obowiązków, sił i czasu starcza jeszcze i na to, by pomagać w zwózce materiałów na szkołę.

Najlepszy w Brunarach hodowca marzy, by powiększyć stado do trzystu tuczników. Ale czy to się uda, gdy tak trudno kupić materiały budowlane, a żeby „zdobyć" rolnicze maszyny, trzeba się za nimi nabiegać? — *Jeśli nie dostanę pomocy z zewnątrz, czyli z gminy albo „Iglopolu", z którym związałem się umową — o rozbudowie nie mam co marzyć.*

JANUSZ WÓJCIK

WALENTY GAWRON (2)

Limanowski Wrzesień

Przez radio usłyszałem, że Anglia i Francja Niemcom wypowiedziały wojnę, czym, jak później się okazało, nic Polsce nie pomogły. Tego samego dnia o godzinie 9 rano przez Kowaniec, przedmieście Nowego Targu i Gorce, hitlerowcy na motorach przybyli do Niedźwiedzia. Tam oddział Wojska Polskiego ich zaatakował i zabił jednego oficera. W odwet podpalili budynki Jana Karpieża, b. wójta, i już do tej operacji wybrali dom Adama Maczugi. Jednak obydwojgu Maczugom, którzy padli na kolana, dali się udobruchać i od zniszczenia odstąpili. W południe 3 września Niemcy już zajęli Mszanę Dolną, skąd ruszyli w stronę Kasiny Wielkiej, Szczyrzyca, Skrzydlnej i Łapanowa. Józef Konieczny ze Skrzydlnej w swoich pamiętnikach pisał, że tam była droga strategiczna, biegnąca po bardzo lichym drewnianym moście. Dziwne, że mocno zmotoryzowana armia po nim przeszła i most się nie załamał.

Przy wkraczaniu do Skrzydlnej najeźdźcy natrafili na opór małego oddziału Wojska Polskiego. Z tego powodu z sąsiedztwa ujęli kilkunastu mężczyzn i dziewięciu z nich rozstrzelali. Uratowało się tylko dwóch. Jeden z nich uciekając otrzymał postrzał w głowę i stracił lewe oko.

W Kasinie Wielkiej w pobliżu gościńca rządowego pochód Niemców od strony Mszany dzielnie powstrzymywany był przez 24 Pułk Ułanów im. Stanisława Żółkiewskiego. Dzięki temu okupacja Limanowej trwała krócej o półtora dnia.

Niedziela 3 września i następne dni były straszne. Artylerzyści konie pobrane od chłopów próbowali odstawić do Bochni. W drodze do Wiśnicza hitlerowcy ich zabrali do niewoli.

Po wszystkich domach na wsi ukrywało się wielu mieszczan limanowskich. Do mojego poprzedniego dnia sprowadziła się p. Starakiewiczowa, żona przełożonego Kasy Stefczyka, który ze mną urzędował. Moja żona przygotowała jej nocleg na strychu, ponieważ w tym czasie panowała susza i w izbie było gorąco.

Spać udaliśmy się dosyć późnym wieczorem. Nagle p. Starakiewiczowa rozbudziła nas gwałtownym krzykiem, że w pobliżu słyszała strzały. Wszyscy się przestraszyliśmy. Ona zaś wpadła do izby i awanturowała się, że ją umieściliśmy na strychu i tak się przelękła. Potem położyła się do łóżka, a ja wyszedłem na górę znajdującą się nad moim domem, by poobserwować okolicę. Sądziłem, że jeśliby jechał jakiś oddział niemiecki, to tylko od strony Tymbarku i oświetlone motocykle byłyby z daleka widoczne. Posiedziawszy dłuższą chwilę, nic nie zauważyłem. Noc była ciemna i głęboka cisza panowała dokoła. Dostrzegłem tylko, że od Sącza przyjechał pociąg i na stacji się zatrzymał. Przypuszczałem, że w nim przywieziono Wojsko Polskie.

Wróciwszy do domu, znów się położyłem do łóżka, by nareszcie odpocząć. Ledwie głowę oparłem na poduszce, słyszę wołanie:

— Walenty, wstawaj! — i gwałtowne dobijanie się do okna. Znów ogarnęła mnie trwoga i serce mocno mi biło. Żona po niedawnej chorobie także się przeraziła. Otworzywszy okno zobaczyłem, że to Stanisław Starakiewicz. Zaświeciłem lampę i od niego się dowiedziałem, że o północy wszystkie władze uciekły do Ujanowic. Również wspomniał, że wojsko z Nowego Sącza przyjechało do Limanowej. Zaś jego żona jako wielce poszkodowana poskarżyła mu się, że spała na strychu i słyszała, jak patrol niemiecki strzelał koło mego domu, czemu stanowczo zaprzeczyłem.

Po dwukrotnym przerwaniu snu jeszcze raz się położyłem do łóżka. Za chwilę powtórnie usłyszałem głos:

— Walenty, Walenty!

Otworzyłem okno. Patrzę, co nowego się dzieje. Dostrzegłem Marię Łyszczarzową, żonę Antoniego, mieszkającego na zachód od Limanowej, za rafinerią nafty. Z bydłem uciekała na Sarczyn do Jana Jasicy, zwanego Augustynem i prosiła mnie, abym przyjął jej krowę na chwilowe przechowanie. Wtedy stajnię miałem pełną bydła, ale tę krowę przyjąłem i poprowadziłem do szwagra, który w oborze posiadał wolną przestrzeń. Łyszczarzowa opowiadała, że ludzie uciekają z dobytkiem, a Niemcy bombardują i są ofiary.

Gdy się całkowicie rozwidniło, zobaczyłem tłumy ludzi, którzy na oślep pędzili na Sarczyn, do Jaworznej i Żmiącej. Byli to limanowscy urzędnicy, nauczyciele, Żydzi, a także mieszkańcy rafinerii. Swe domy i mieszkania zostawili na łaskę losu. Wśród dorosłych oglądałem wiele dzieci. Wszyscy siali straszliwą panikę. Opowiadali, że Niemcy będą palić domy, więc uciekają, by życie uratować.

Do tego czasu już zboże omłóciłem i miałem w sąsiekach. Wybiegłem więc na strych z workiem, aby je sypać, a potem wynieść do piwnicy i zachować do siewu. Myślałem, że jeśli się będzie palić, choć tyle uratuję. Po przyszykowaniu około 50 kg spocząłem na chwilę. Wtedy sobie uświadomiłem, że przecież mój dom znajdujący się na uboczu wśród lasów może ocaleć i z powrotem ziarno wsypałem do sąsieka. Uczyniłem to tym bardziej, że całą piwnicę miałem zapchaną szafami z aktami Kasy Stefczyka i garderobą rodziny Czajów.

Tymczasem wojsko w Limanowej okopywało się koło stacji kolejowej na gruncie Józefa Mamaka. Po wybraniu kilku dołków jednak zaniechano tej roboty.

Wówczas w mieście na całego grasowali złodzieje. Wykorzystując powstały zamęt, dokonywali rabunku sklepów, które właściciele zamknęli na kłódki i uciekli. Wszelkie zabezpieczenia na nic się zdały i kradzieże święciły triumf. Ich sprawcy nie bali się nadejścia Niemców. Opróżniali nie tylko sklepy, lecz i prywatne mieszkania, skąd zabierali zwłaszcza pierzyny, poduszki, odzież i bieliznę.

Jak już wspomniałem, w poniedziałek dnia 4 września po północy z Nowego Sącza do Limanowej przybyło wojsko, należące do 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. Jego dowódca zaraz udał się do miejscowego starosty Stanisława Nowaka celem zasięgnięcia informacji. Niestety, nie zastał go. Za to koło Starostwa spotkał wójta gminy Limanowa-Wieś, Michała Ociepkę, który zamiast iść do domu i tam nocować, przebywał w mieście. Tenże dowódca zapytał czy nie jest mu wiadomo, gdzie przebywa starosta. Ociepka do niego się odezwał:

— Powiadam panu pułkownikowi, że starosta już wyjechał z Limanowej do Ujanowic.

Na to dowódca oświadczył:

— Kiedy nie ma starosty, to was, wójcie, mianuję starostą.

Do rangi starosty był przywiązany urząd przewodniczącego Wydziału Powiatowego. Ponieważ miasto też opuścił Tadeusz Bieda, na Ociepkę spadł również urząd burmistrza Limanowej. Tym sposobem objął wszystkie wyższe stanowiska i razem ze swoją godnością wójta zebrał ich aż cztery.

(ciąg dalszy nastąpi)

Zdolna panienka

Niepospolitymi zdolnościami wykazała się dopiero co przyjęta do pracy w Urzędzie Poczty w G. panna Marzena M. W ciągu niespełna dwóch miesięcy obsługiwania klientów w okienku pocztowym nr 2 wystawiając fikcyjne przekazy pieniężne naraziła pracodawcę na stratę co najmniej 5,8 mln zł.

Ba, to są jedynie pobieżne wyliczenia. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że po bardziej wnikliwej analizie straty mogą być znacznie większe.

Pracodawca pani Marzeny jest tym bardziej zaniepokojony, że stracił z nią kontakt. Przyczyna jest banalna. Pragnąc wykorzystać sprzyjającą pogodę, utalentowana pracownica poczty wyjechała nagle z G., informując bliskie osoby, że udaje się na letni wypoczynek. Wysłano za nią wprawdzie funkcjonariuszy miejscowego RUSW, lecz — jak na razie — nie potrafią panny Marzeny dogonić. *Jesteśmy na tropie* — podali telefonem do macierzystej jednostki.

Było to kilka dni temu. Trop prowadził do znanego wczasowiska na Kaszubach. Niestety. Dzielni funkcjonariusze zapukali do drzwi pokoju, w którym przebywała panna Marzenka — odrobinę spóźnieni.

Zmieniła miejsce letniego wypoczynku tuż przed niezapowiedzianymi gośćmi.

Pewien taksówkarz z G. poinformował funkcjonariuszy MO, że z panną Marzeną jeździł trochę po Polsce. Płaciła walutą krajową. — *W sumie na pewno nie więcej niż 300 tys. zł.* — zapewnił taksówkarz.

— *Nie zdziwiło pana, że tak młoda osoba podróżuje taksówką za takie kwoty* — chcieli wiedzieć funkcjonariusze.

— *W moim zawodzie nic nie może dziwić* — rzekł z godnością członek Zrzeszenia Prywatnych Taksówkarzy. — *Jak bym się dziwił, że klienci płacą za przejazd, to by pomyśleli, że za kółkiem siedzi wariat. Jest tak, czy nie?*

Funkcjonariusze wysłuchali logicznego wywodu taksówkarza, po czym podziękowali za informację i zawrócili do domu.

— Prokuratura w G. wszczęła energiczne śledztwo, ale — wciąż — z mizernymi rezultatami. Rozesłano nawet listy gończe.

Uważajcie więc państwo na pannę Marzenkę z dużą gotówką. Można z nią wypić kawę i ewentualnie zjeść lody, ale w żadnym wypadku pozwolić jej płacić. Panna Marzenka bawi się nieładnie, bo wydaje nie swoje pieniądze!

SEBASTIAN ZBRACKI

Śladem publikacji

W związku z artykułem Jana Urygi pt. „Bohaterskie Dni Wysokiej" („Dunajec" z dnia 3 września br.), informuję, że 1 Brygadą Górską, o której mowa w artykule, dowodził płk dypl. **Janusz Franciszek Gałady**k (1898-1947), nie zaś — jak pisze autor — płk Julian Gałady. Natomiast 1 p. KOP (1-BG) dowodził ppłk **Wojciech Wójcik** (1896-1940), a nie ppłk Jan Wójcik.

Wymieniony przez Jana Urygę mjr **Edward Roth** dowodził batalionem Obrony Narodowej „Zakopane", a kpt **Julian Szczerbanowicz** — batalionem Obrony Narodowej „Żywiec".

Nadzór nad budową okopów sprawował dowódca 5 kampanii II batalionu 12 pp z Wadowic (6-DP) — ppor. **Tadeusz Stefaniszyn** (poległ 2 września 1939 rok).

mgr WŁADYSŁAW BARTOSZ

W gorlickiej PSS

Dwukrotnie tego roku pisaliśmy krytycznie o gorlickim handlu. Żaden z artykułów nie pozostał bez echa: pierwszy spowodował, iż kontrolerzy tamtejszej PSS ruszyli w teren. Winnych zaniedbań ukarano, a redakcja otrzymała od zarządu gorlickiej Spółdzielni pismo z drobiazgowymi wyjaśnieniami. Zareagowali również Czytelnicy. Drugi artykuł — relacja z rozmów z kierownikami sklepów i wiceprezesem gorlickiej PSS, **Markiem Gierutem**, również wywołał oddźwięk. Dostaliśmy (napisany płomienną polszczyzną) list od wiceprezesa Gieruta. Autor listu przypomina, że z próżnego nie potrafi nalać nawet mądry Salomon, nie ma więc co oczekiwać cudu obfitości w kierowanych przez zarząd placówkach. Pismo zapraszało nas również na rozmowę, podczas której prezes przedstawił starania zarządu o lepsze zaopatrzenie gorlickich sklepów.

Przyjęliśmy zaproszenie. Prezes z optymizmem opowiadał o już podjętych działaniach i o tym, jak procentować będzie spuszczona z łańcucha nakazów i zakazów ludzka przedsiębiorczość. Czy jednak nie jest to przedwczesny optymizm? Przecież o sukcesie zamierzeń decydować będzie przede wszystkim nie atrakcyjność wizji zmian, ale mrówcza praca ludzi od „czarnej roboty" i mądre, konsekwentne decyzje zarządu gorlickiej PSS.

Według oceny wiceprezesa Gieruta, zwiększenie skupu mięsa może nastąpić dopiero za sześć-siedem miesięcy (tyle mniej więcej trwa dorastanie tucznika do odpowiedniej wagi). Klienci jednak nie mogą czekać. Aby przyspieszyć poprawę zaopatrzenia, Spółdzielnia zawiera umowy bezpośrednio z hodowcami. Tuczniki tyją, zajadając odpadki ze społemowskiej piekarni i czerstwe pieczywo — w zamian rolnicy zobowiązują się sprzedawać zwierzęta Spółdzielni. Ceny skupu nie są sztywne; jeden chłop może otrzymać za tucznika większą sumę, drugi mniejszą (to kwestia dogadania się dwu stron), lecz średnio o 10 procent więcej niż oferuje konkurencja. Od kilku miesięcy PSS zachęca rolników do takiej kooperacji: wysłano pisemne oferty do urzędów gmin i sołtysów, pracownicy Spółdzielni chodzą na targ zwierzęcy, rozdają ulotki. Te zabiegi — prócz doraźnego — mają również dalszy cel. Chodzi o to, by za trzy lata, gdy powstaną społemowskie zakłady mięsne, stałymi współpracownikami Spółdzielni było jak najwięcej hodowców.

W sklepach Spółdzielni wprowadza się stopniowo tzw. aktywny system płac. Im więcej towaru sprowadzi kierownik do sklepu, im marże będą korzystniejsze — tym zarobki personelu wyższe. Jest to więc prowizja zespołowa od uzyskanej marży. Prosty zabieg „chwycił", wynagrodzenia obsługi niektórych sklepów wyraźnie wzrosły (np. pobory kierownika jednej z takich placówek wyniosły w maju 107 tysięcy złotych, w czerwcu — 187 tysięcy), a zaopatrzenie — jak twierdzi prezes — poprawiło się.

1 sierpnia bieżącego roku zarząd gorlickiej PSS zaaplikował kierownikom spółdzielczych sklepów wstrząsową kurację: jednostronnie wypowiedział kierownicze funkcje bez względu na to czy dany sklep przynosił zyski, czy straty. Na wypowiedzeniach widniała adnotacja wiceprezesa do spraw handlowych: *Decyzję o ewentualnym dalszym kierowaniu przez Pana (Panią) tą placówką podejmę najpóźniej do 31 stycznia 1990 roku. Do tego czasu oceniane będą efekty działalności sklepu.* Ważne więc będzie czy zespół wykorzystywał prawo do samodzielnego zatrudniania i zwalniania pracowników, czy starał się zdobywać towar bez pośrednictwa Spółdzielni, jakie miał zyski itd. Zarząd gorlickiej PSS liczy, że w ten sposób osiągnie co najmniej dwa cele: zmusi kierowników (wobec perspektywy utraty stanowiska i stosunkowo wysokich zarobków) do większej niż dotychczas aktywności, a także wyłoni najlepszych pracowników. Oczywiście, ten organizacyjny manewr wywołał protesty, odezwały się związki zawodowe. Po pewnym czasie wzburzenie minęło, ludzie — widząc, że to nie przelewki — wzięli się do roboty.

Zapytany, jak kierowałby Spółdzielnią, gdyby była jego prywatną firmą, Marek Gierut odpowiedział, iż nie zawahałby się przed wprowadzeniem radykalnych zmian: — *Przede wszystkim zatrudniłbym oddanych firmie ludzi, którzy wiedzieliby, że za złą pracę zostaną natychmiast zwolnieni, za dobrą — odpowiednio wynagradzani. Mój zaopatrzeniowiec nie mógłby powrócić z wyjazdu bez towaru. Gdyby moja piekarnia, ciastkarnia czy sklep przynosiły straty — zlikwidowałbym je nie przejmując się, że np. zamykam jedyny sklep spożywczy w osiedlu Korczak. Nie wyobrażam sobie, żebym musiał dokładać do nierentownego interesu.*

JANUSZ WÓJCIK

Zaprosili nas

● Komitet Organizacyjny 34 Międzynarodowego Turystycznego Rajdu Przyjaźni „Szlakami Lenina" do wzięcia udziału w uroczystościach zakończenia Rajdu;

● Bolesław Lenart do WDW w Niedzicy na swą prelekcję pt. „Dunajcowe zapory Rożnów i Niedzica (analogie i przeciwieństwa)", ilustrowaną barwnymi slajdami;

● Miejski Ośrodek Kultury w Szczawnicy na wernisaż wystawy rzeźby Henryka Zachwiei;

● Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji w Nowym Targu na mecz piłki nożnej kobiet między drużynami „Elpod" Kraków i „Błękitni" Tarnów.

LUCYNĄ KASZUBĄ

Rozrachunki z pamięcią

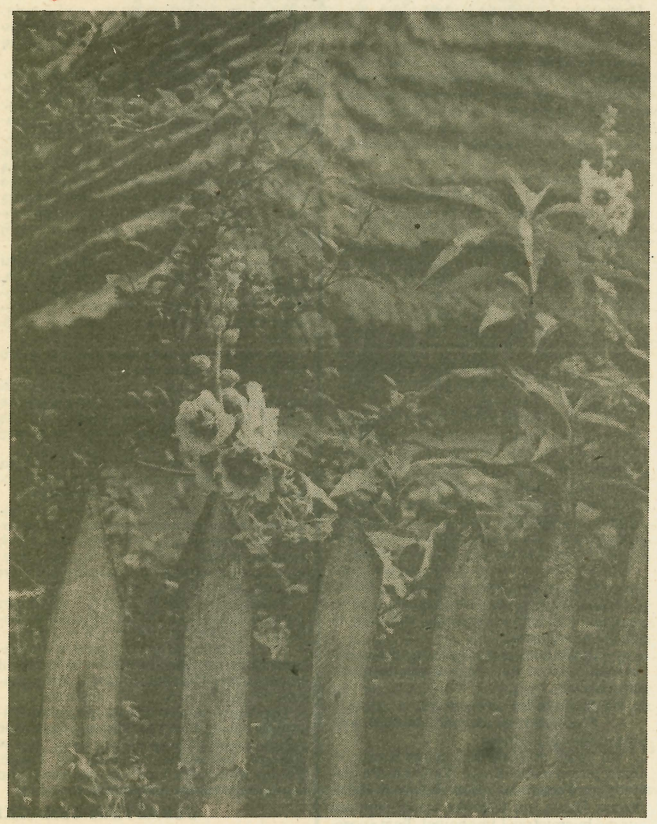

Fot. JERZY ŻAK

...Bramy się rozmnożyły — co krok jakaś brama, którą musisz zdobywać, żeby pójść dalej; mógłbym nawyliczać wiele różnych bram, które w męce musiałem zdobywać — bramy miast, bramy szkół, bramy wiedzy; żyć to znaczy dobijać się do niezliczonej ilości zaryglowanych bram i otwierać je w trudzie, bo zawsze przed tobą jakaś brama. Jesteś w gąszczu bram, każdy krok to otwieranie bramy, bo pomiędzy „bliżej" i „dalej" brama (...), pomiędzy płaczem i uśmiechem brama, pomiędzy człowiekiem i człowiekiem zaryglowana brama...

Cytat zaczerpnięty z najnowszej powieści **Juliana Kawalca** „W gąszczu bram", wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, sugeruje nawrót do stałych wątków i podążanie tropami poprzednich książek pisarza. Los wiejskiego chłopca, który odważył się „przepłynąć rzekę" dzielącą dawną wieś od miasta, mozolne zdobywanie własnego miejsca w nieznanym świecie, ciągłe oscylowanie pomiędzy przeszłością pełną magicznych znaków a zwykłą teraźniejszością — to wszystko pojawiało się już w powieściach i opowiadaniach. Nigdy jednak, w żadnym utworze nie było tak wiele osobistych przeżyć, wspomnień i obserwacji. Ten kto nie zna biografii Juliana Kawalca — mógłby ją złożyć przeczytawszy książkę zadedykowaną wnukowi — Piotrowi Łukaszowi.

Autor często sięga do swego życiorysu, by okruchy autentycznych wydarzeń przetwarzać w tkankę artystycznej prozy. Jego bohaterami są zwykli ludzie o wiejskim rodowodzie, dobrzy i źli, choć nigdy zło nie tkwi w ich naturze. Czasem tylko przyrasta do człowieka, który odrzucił odwieczne wartości, by wejść w obce środowisko nie tolerujące odmieńców. Jednak za najmniejszą zdradę i naruszenie praw trzeba płacić. W książkach pisarza, od lat żyjącego pomiędzy Krakowem a Rabką, najwięcej wiary w dobro, choć trudno je ocalić, gdy jest się daleko od *wielkiego, ciepłego serca wiejskiej gromady*.

W ubiegłym roku, podczas spotkania z czytelnikami w nowosądeckim Klubie MPiK, Kawalec mówił o narodzinach powieści „W gąszczu bram". To jego rozrachunek z przeszłością, powrót do źródeł twórczości wyrosłej z osobistych doświadczeń oraz nakreślenie drogi wiodącej na „szklaną górę" — jak określa pisarstwo. Każdej książce dawał siebie po trochu, Tutaj — zawarł własne dzieje i zarazem metaforyczny los wybrańca. W latach międzywojennych przyszłość wiejskich dzieci była z góry wyznaczona: tradycją, biedą, odległością pomiędzy chatą o słomianym dachu a murowanymi domami w mieście. Tylko upór matki, twardej wiejskiej kobiety, która *nie ulękła się grzechu i syna postawiła na pierwszym miejscu, a ziemię na drugim* sprawił, iż los dał się odmienić. Nad bohaterem (występującym na przemian w pierwszej i trzeciej osobie) ciągle jednak unosi się cień zagrożenia. Przeciwstawienie woli człowieka odwiecznym prawom jest niebezpieczne. Wiele progów trzeba pokonać, otworzyć niezliczoną ilość bram, by osiągnąć cel i zarazem — nie utracić więzi z ludźmi, przyrodą i ziemią.

Trudno się poruszać w dwóch odmiennych przestrzeniach. Wieś rysowana w powieści jest swojska, upoetyczniona niby kraina czarów. Świat poznaje się tu po zapachach, dźwiękach i przyjaznych gestach, których nie skąpią ludzie, woda, pola, nawet zwierzęta. Miasto — to szara, obca rzeczywistość, w której liczą się pozory. Ludzie są pełni uprzedzeń. Wystarczy być innym — w mowie, myśleniu, nawet błahych szczegółach ubioru — by obudzić agresję. Realistyczne sceny z sandomierskiego gimnazjum i czasów studenckich odbrązawiają czasy II Rzeczypospolitej, kiedy to młodzi, fanatyczni endecy z pałkami i kastetami „nawracali" inaczej myślących kolegów. Czasem pojawia się ironia, zwłaszcza gdy pisarz ukazuje podsycane narodowe mity. Czas zamętu i grozy to okres wojny. Wówczas okazuje się, iż przyjazny dotąd symboliczny ogień — płomyk z pastuszego ogniska i domowego pieca — służy także unicestwianiu całych wsi. Drobne tylko wzmianki dotyczą przeżyć osobistych; gdy najeźdźcy tropią zbiega, gdy młody korespondent wojenny przy I i II Froncie Białoruskim poznaje okrucieństwo wojny — często przyjazny krajobraz pozwala ocalić życie. Więcej miejsca poświęca autor innym ludziom, cudem uratowanym z licznych masakr. Życie jest jednak silniejsze, odradza się na gruzach nie czekając aż ostygną zgliszcza. Galeria wspaniałych postaci: rodziców bohatera, dziadków, babki o biblijnym imieniu Ewa, która uczy sztuki przebaczania nawet najgorszemu wrogowi — dopełnia obrazu przeszłości.

Powieść-wyznanie, w której wątki autentyczne przeplatają się z fantastycznymi, pisana pięknym, śpiewnym językiem wciąga czytelnika od pierwszych stronic. Ciągłe cofanie się w czasie, nawroty do zarysowanych wcześniej wydarzeń — nie zakłócają toku narracji. Jak w życiu — myśli i refleksje rodzą się i przemijają. Dziwny jest ten na pozór zwyczajny świat, pełen rozmaitych odcieni miłości — do własnego domu, bliskich pejzaży, starych ludzi z ich zrodzoną z doświadczeń pokoleń mądrością. Pojawiają się motywy zaczerpnięte z wcześniejszych utworów Juliana Kawalca: tańczący jastrząb, koń, którego zgubiło marzenie o nieograniczonej wolności i jabłoń „wchodząca" oknem do pokoju.

Autor porusza także problemy współczesne: zanik więzi międzyludzkich, chore dążenia do zbrojeń i zagłada grożąca przyrodzie. W balladowym stylu, jak refren powracają jednak motywy niosące nadzieję. Wystarczy pamięć i upór, by słuchając życzliwych podszeptów przodków ocalić ziemię, wybudować prawdziwy, ciepły dom na pozostałym skrawku zieleni. To przestroga i przesłanie kierowane do wnuka oraz wszystkich innych małych jeszcze „Piotrów Łukaszów".

JULIAN KAWALEC, W gąszczu bram
Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1989

ANNĄ HAŃDEREK-GWIĄZDONIK

WOJENNA TUŁACZKA

Ostatnie wakacje przed wojną rozpoczęły się dla mnie obozem terenowym studentów socjologii i etnografii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Odbywał się pod kierownictwem prof. Kazimierza Dobrowolskiego koło Bochni. Mieszkaliśmy w dawnych czworakach i prowadziliśmy ankietowe badania wśród mieszkańców wsi. Tutaj też po raz pierwszy zetknęłam się z przygotowaniem psychicznym społeczeństwa do wojny. Któregoś niedzieli mieli przyjechać studenci z pogadankami na temat stosunków polsko-niemieckich i wojny, która — jak wynikało z docierających do nas wieści — była bliska. Ponieważ studenci nie przyjechali, postanowiliśmy ratować sytuację. Byłam magistrem historii, więc mnie wybrano do przeprowadzenia pogadanki. Okazało się, że mam dobre „gadanie" — nie tylko omówiłam temat, ale potrafiłam wzniecić taki entuzjazm, że odczyt skończył się odśpiewaniem pieśni: „Nie rzucim ziemi". Dziś myśląc o tym odczuwam wstyd, bo co ja o przygotowaniach do wojny wiedziałam? To brzmiało tak, jak ten słynny guzik marszałka Rydza-Śmigłego z sierpnia 1939 roku.

Po zakończeniu obozu pojechałam do Równego, gdzie miałam razem z kolegą, Zbyszkiem Kmiecikiem, kontynuować swoją pracę. On uczył się do ostatnich egzaminów na prawie — był studentem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie — a ja pisałam rozprawę doktorską. Nastroje wojenne wzrastały, pamiętam jak podczas jednego ze spacerów ze Zbyszkiem po parku mówiliśmy, że gdybyśmy wiedzieli, iż wojna na pewno wybuchnie — to nie uczylibyśmy się, bo i po co? Rzeczywiście — Zbyszek zginął w Katyniu, a moja „obskubana" ze źródeł praca doktorska leży do dzisiaj w szafie.

W sierpniu wyruszyłam na objazd wschodnich połaci Polski, odwiedzając rodzinę i znajomych w Niedźwiedzicach, Wilnie, Grodnie, Jagódce koło Duskiennik, wreszcie dotarłam do Siedlec. Podobnie jak wszędzie gdzie podróżowałam, i tutaj panował duży ruch samochodowy związany z ogłoszoną mobilizacją. W Siedlcach zastałam rodzinę zdekompletowaną. Janka zmobilizowano, tata przebywał gdzieś w Zakopanem, zarabiając na moją wyprawę. W domu była tylko mama z Marysią i Władzia z dziećmi.

1 września spacerując przyglądałam się nadlatującym samolotom. Dopiero gdy zaczęły zrzucać bomby, udałam się do ogrodu, gdzie był wykopany schron-rów, w którym schowałam się z rodziną i innymi ludźmi. Niemcy bombardowali systematycznie, zwłaszcza śródmieście miasta. Ponieważ atmosfera w schronie była nie do wytrzymania (ciągłe płacze i odmawianie litanii), nasza rodzina co rano ładowała prowiant na dziecinny wózek, braliśmy dzieci na ręce i uciekaliśmy w pole do nie wykończonej kaplicy. Tam spędzaliśmy cały dzień, aby wieczorem wrócić do domu.

Pewnego popołudnia samoloty przestały latać, natomiast z dala dobiegał pomruk dział, a polami zaczęli iść pojedynczy żołnierze, niosąc na plecach maskujące zielsko. Wtedy mama powiedziała — *Wiem co to jest, znam z I wojny — to odwrót.* I faktycznie, za pojedynczymi żołnierzami zaczęły pojawiać się grupy. Mówili, że rozbito ich pod Wągrowcem i uciekają w stronę Brześcia. Wtedy postanowiliśmy wrócić do domu. Po drodze napotykaliśmy już tak duże grupy uciekinierów, że trudno było się przedostać; wyglądało to rozpaczliwie i wtedy po raz pierwszy w czasie tej naszej wojny zapłakałam.

W kilka dni później, rankiem, do miasta wkroczyli Niemcy. Zajęli dom inż. Szarasa, pracownika Dyrekcji Lasów Państwowych. Ponieważ była piękna pogoda, Niemcy golili się i myli na polu, a my z daleka obserwowaliśmy ich. Obserwowaliśmy też wjazd Niemców do miasta. Ciągnęli szosą niedaleko od nas: uderzyło mnie, że nikt nie szedł na piechotę. Sunęły czołgi, motocykle, samochody. A nasi biedacy uciekali pieszo na tę nieszczęsną szosę brzeską.

Zgłosiłam się do pracy w szpitalu wojskowym, gdzie mieli bardzo dużo rannych. Nie byłam fachową pielęgniarką, więc moja praca polegała na pomocy przy

Złote ręce

Jedną z bardziej znanych szczawnickich artystek ludowych jest **Zofia Wiercioch** (urodzona w 1928 r.). Od najmłodszych lat zajmuje się hafciarstwem i koronkarstwem, robi na drutach (swetry, rękawice), szydełkuje. Jej koronki i swetry, hafty góralskie na serwetach, obrusach i poduszkach są podziwiane — i chętnie kupowane.

Pani Zofia również pisze i deklamuje swoje wiersze okolicznościowe. Te wiersze — to zapisy obyczajów ludowych bądź krajobrazu pienińskiego oraz rymowane gadki góralskie.

Nic dziwnego — wychowała się w rodzinie szanującej góralskie tradycje.

Brała udział w wielu konkursach w Szczawnicy, Krościenku i Limanowej („Złote ręce seniora"). Prace swe prezentowała również w Nowym Sączu, Złotoryi i Skawinie. Wielokrotnie uczestniczyła w imprezach „Lata Pienińskiego".

Za wieloletnią pracę otrzymała szereg wyróżnień i dyplomów. Dziś ma rentę twórczą. Od 1987 roku jest członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Prace p. Zofii Wiercioch można obecnie podziwiać na wystawie w MOK „Zacisze" w Szczawnicy, a przez cały rok — również w jej domu, w izbie regionalnej, gdzie zawsze chętnie gości odwiedzających.

JÓZEF WITKOWSKI

KARYKATURA ZAKOPANEGO

Andrzej Strug (1871-1937) znany jest przede wszystkim jako autor „Ludzi podziemnych", „Dziejów jednego pocisku", Wielkiego dnia" i „Żółtego krzyża". Niebanalny życiorys pisarza miał jeden stały element. Otóż Strug (jak twierdzi Wanda Gentil-Tippenhauerowa) przez 37 lat z rzędu zaglądał rokrocznie do Zakopanego. Musiało to znaleźć odbicie w twórczości. Powstała książka niezwykła, istny fajerwerk fantazji, groteski i satyry, powieść-rebus: „Zakopanoptikon — czyli kronika 49 dni deszczowych w Zakopanem". Pierwszy raz drukowana była w lwowskim dzienniku „Wiek Nowy" w latach 1913-1914 i za życia autora nie doczekała się wydania książkowego. Potem — w roku 1957 — wydał ją „Czytelnik", a teraz ukazała się w starannym opracowaniu Romana Hennela w krakowskim Wydawnictwie Literackim we wspaniałej serii Tatrzańskiej. Można mówić o wydarzeniu literackim, bo rzadko spotyka się rzecz napisaną z taką brawurą pisarską, z taką inwencją, z taką pomysłowością. Kto ceni sobie wirtuozerię słowa, kto kocha fantazję nie zawiedzie się podczas lektury „Zakopanoptikonu".

Akcja tej fantastyczno-realnej powieści toczy się w podgiewontowym uzdrowisku w pierwszych latach dwudziestego wieku. Zakopane było wtedy polskimi Atenami, istną Mekką, do której zjeżdżali artyści, politycy, pisarze, arystokracja, lekarze i w ogóle wszyscy ci, którzy chcieli zażyć autentycznej wolności zakopiańskiej pod sztandarem Tatr. Zakopane w przedziwny sposób skupiało i łączyło Polaków ze wszystkich zaborów, stanowiło namiastkę prawdziwej, suwerennej Polski. Ale powiedzmy od razu, że tylko... wakacyjnej!

Strug był bystrym obserwatorem. Widział powagę i obywatelski sens spotkań Polaków pod Giewontem, ale dostrzegał również pewną dziecinadę owych szlachetnych słów i gestów. Postanowił to skarykaturować i tak powstał przezabawny „Zakopanoptikon". Ale czy wyłącznie chodziło o zabawę? Z pewnością nie. Zbyt zaangażowanym społecznie pisarzem był Strug, by nie kierowały nim racje głębsze. Karykatura Zakopanego jest również satyrą na społeczność polską w ogóle.

Powieść jest satyryczną transformacją autentycznych wypadków i ludzi. Strug ze znanego mu, żywego prototypu utworzył postać typową, puszczając przy okazji wodze swobodnej fantazji, która posłuszna mu była niepomiernie. Można by nią było obdarzyć dobry tuzin potrzebujących autorów. Jawią się w „Zakopanoptikonie" ludzie z polskiego Parnasu, a więc jest na przykład Tadeusz Miciński jako Woziwoda, Wincenty Lutosławski jako Skawulina, Mariusz Zaruski jako Gdysz, Tadeusz Korniłowicz jako Tołumbas i wielu, wielu innych. Słowem — powieść z mnóstwem kluczy. (Na marginesie rodzi się pytanie, gdzie te czasy, gdy do Zakopanego zjeżdżał tłum artystów? Taka np. „Astoria", dom pracy twórczej polskich literatów, już drugi rok w remoncie...)

Szczególnie ostro Strug w swej satyrycznej powieści wypowiada się na temat dziennikarzy. Atakuje bezpardonowo pokracznych koryfeuszy kłamliwego dziennikarstwa, załatwiając przy okazji swoje porachunki i polityczne antypatie. Padają ostre słowa: *notoryczna kanalia urodzona w kolektorze, urodzony w rynsztoku.* Wszak walka na pióra może też okazać się krwawą... Z dobrodusznym wyrozumieniem traktuje natomiast Strug środowisko taternickie, a opis wyprawy w Tatry to istna lawina fantazji, halny wyobraźni, najprzedniejsza zabawa... z górami!

W humorystycznym laboratorium Andrzeja Struga najzabawniejsze miejsce zajmuje jednakże środowisko sezonowych letników, pensjonariuszy willi i domków, a także społeczność pań pensjonatowych (czytaj dzisiaj: wczasowych). Niezbyt wiele zmieniło się z upływem prawie setki lat. Prawie nic. A więc zbierzmy całą odwagę i przejrzyjmy się w tym zwierciadle, pamiętając, że prawdziwa cnota...

Powieść otwiera aforyzm-pytanie retoryczne adresowane do czytelnika: *Czy wolno Polakowi dziś się śmiać?* Jak na nie odpowiedzieć nam, Polakom z lat boleśnie kryzysowych? Wiem i nie wiem zarazem. Ale przecież nie można wciąż poważnie mówić o prześladującej nas niepogodzie politycznej, społecznej, kulturalnej. Więc?

EMIL BIELA

Andrzej Strug, *Zakopanoptikon* — Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, str. 376, cena 1200 zł

bandażowaniu, ścieleniu posłań, podawaniu „kaczek" czy jedzenia. Zapamiętałam z tego okresu rany, w których kłębiły się robaki, zwęglone twarze, chowanie zmarłych w ogrodzie szpitala, w rowie przeciwlotniczym — i dzień, kiedy wkroczyli Rosjanie. Nie był to 17 września — to było wcześniej; Niemcy dopuścili ich do Wisły. Pobyt Rosjan trwał krótko, wycofali się do Bugu na podstawie wcześniejszej umowy z Niemcami. W Siedlcach pozostali tylko Niemcy. Ponieważ szpital stopniowo likwidowano, zmuszona byłam rozglądnąć się za inną stałą pracą. Pomyślałam o szkole, ale okazało się, że tylu jest bezrobotnych miejscowych nauczycieli, że o zatrudnieniu obcego szkoda marzyć.

Na razie kopaliśmy na dworskim polu kartofle na zimę, bo wiadomo, że to podstawa wyżywienia. Pogoda ciągle dopisywała, a był chyba październik, Warszawa padła, zaczął ustalać się już jakiś porządek niemiecki. Tysiące uciekinierów wędrowały w tę i tamtą stronę. Martwiliśmy się, co jest z naszym bratem Jankiem, od którego, chociaż wojna się już skończyła, nie było żadnych wiadomości. Naraz okazało się, że Janek jest po stronie polskiej i prosi, aby przyjechała do niego jego żona — Władzia wraz z dziećmi. Po naradzie rodzinnej postanowiłam jechać razem z Władzią do Rudy, podjąć tam pracę, a następnie sprowadzić resztę rodziny.

Pod koniec października przekroczyłyśmy z Władzią granicę w Zarębach Kościelnych i po licznych kłopotach dojechałyśmy najpierw do Osowca, a później do Rudy. Ponieważ pociągi do Grajewa nie kursowały, ja poszłam do Rudy piechotą, a Władzia z dziećmi dojechała później wozem. Podczas przewożenia zgubiono moją walizkę z rzeczami i — co najważniejsze — z dokumentami. Jak starać się o pracę bez jakichkolwiek dokumentów? Pojechałam jednak do inspektoratu w Grajewie. Inspektorem był jakiś polski Rosjanin o nazwisku Sokołowski, lecz mówił do mnie tylko po rosyjsku. Okazało się, że jest miejsce w szkole podstawowej w wiosce Chełchy, na granicy z Prusami. Tam spędziłam okres do świąt Bożego Narodzenia. Mieszkałam w nieopalanym pokoju, spałam pod dwiema pierzynami, jadłam to co i domownicy: zwykle kapuśniak z ziemniakami.

Planowałam sobie, że na ferie zimowe pojadę do Siedlec i przywiozę Mamę z Marysią. Nie przewidziałam jednak, że granica zostanie zamknięta, że władze niemieckie i radzieckie uznają, iż dość tej wędrówki ludów. I tak się stało, chyba na początku grudnia. Święta spędziłam więc w chłopskiej chałupie, łykając łzy, bo pierwszy raz byłam w tych uroczystych dniach bez jakiejkolwiek rodziny.

Tymczasem radzieckie władze szkolne wymyśliły, że ten teren (a było to północne Podlasie) zamieszkują Białorusini, co było absolutną bzdurą, bo nie było tam wcale Białorusinów, tylko sami Polacy, dawna szlachta zaściankowa o nazwiskach prawie wyłącznie kończących się na -ski i -cki. Ale pisma urzędowe przychodziły do szkoły w języku białoruskim i nie rozumiałam ich ani nikt nie umiał mi ich przeczytać. Do gminy w Grabowie jeździłam po pensję i po przydział nafty; tam dowiedziałam się, że wszyscy nauczyciele mają uczestniczyć w kursie języka białoruskiego albo w Grajewie, albo w Szczucinie. Nie pojechałam ani tu, ani tam, lecz władzom podawałam, że się szkolę.

(ciąg dalszy nastąpi)

JAN POPRAWA

GWIAZDOZBIÓR

Jakubowicz

W stosie płyt gramofonowych, których nie zdołałem w porę przesłuchać (a choć produkcja polskich oficyn fonograficznych nie jest przesadnie wielka — przecie ów stos liczył kilkadziesiąt tytułów!) znalazła się kolejna płyta z piosenkami Martyny Jakubowicz. Rozmaite były przyczyny zwłoki, wszelako teraz śpieszę sypać sobie głowę popiołem, przepraszać itp. Nie dlatego, by longplay Martyny Jakubowicz rzucił mnie na łopatki. Z zupełnie innego powodu, który zresztą będzie wątkiem dzisiejszego felietonu.

Martyna Jakubowicz jest na firmamencie polskiej estrady zjawiskiem nietypowym i oryginalnym. Jedną bowiem z cech charakterystycznych dla polskiego światka estradowego jest skłonność do uniformizacji, jest potrzeba przynależności do czegokolwiek. Do ruchu społecznego, do orientacji politycznej, do gatunku artystycznego. Do hasła, choćby za nim nie stało nic rzeczywistego. Jak atomy tego samego pierwiastka, artyści polskiej estrady przyciągają się nawzajem. Tworzą „rodziny", grupy wzajemnej adoracji i tak dalej...

Przykłady? Proszę bardzo. Oto środowisko nazywające się niekiedy *bluesowym*. Grupa mniej lub bardziej utalentowanych artystów, grających muzykę opartą na prymitywnym schemacie bluesa — nazwała się od razu *środowiskiem*. Stworzyła, a jakże, własne festiwale, w ślad za tym — własną publiczność. Publiczność bluesowa nie słucha niczego poza *swoją muzyką*. Poza kilkoma słabymi kapelami rodzimymi i jeszcze słabszymi gośćmi z NRD lub Czechosłowacji.

Jeśli ktoś śpiewa lub gra muzyczkę łagodniejszą (aczkolwiek rytmiczną), jeśli ma skłonność do melodyjnego śpiewania w towarzystwie pijanego tłumu (a niekoniecznie chce to marzenie realizować w Kołobrzegu) — ten „wstępuje do country". Jak to wygląda — widzieliśmy tego roku w Mrągowie, niestety.

Zresztą sam wspomniany Kołobrzeg też jest przecie dobrym przykładem ciążenia pewnych artystów estrady do jakiegokolwiek skupiska jakiejkolwiek grupy ludzi zdradzających podobne jak oni sami obawy i słabości (zatem upodobania).

Przykładów można by, oczywiście, wymienić jeszcze wiele. W każdym szło jednak będzie o to samo: o ucieczkę słabych jednostek w tłum. Tłum tak samo słabych, szarych i mało twórczych ludzi. Ten tłum dodaje otuchy. W tłumie słabi czują przypływ sił, szarzy — rumieńce...

Co charakterystyczne, z owych mikrośrodowisk estradowych, kręgów rzekomego wtajemniczenia, zamkniętych przed profanami *świątyń* — co jakiś czas wyłaniają się artyści niewątpliwi, prawdziwi, dojrzali. jakby przebywanie w światku liliputów dało im nowe siły. Może po prostu najzdolniejsi w owych *gatunkowych gettach* wysysają ze swych towarzyszy co najlepsze?

Żeby było jeszcze dziwniej — wyłaniające się z magmy i anonimowej urawniłowki zespoły i soliści otoczeni są zazwyczaj kłątwą swych niedawnych współwyznawców. Częściej gani się ich za rzekome „zdrady ideałów", niż chwali za kreatywność i przekroczenie granicy niemożności. Najwybitniejsi z owych zbuntowanych zwykle wyłamują się bowiem z dotychczasowej rodzajowości. Stają się w jakiś sposób eklektyczni — i przez to otwarci na inne zjawiska, na wszelakie prądy estradowej sztuki. I tu można podać niejeden wymowny przykład. Ot, choćby przed laty Niemen. Buntownik, któremu nie wystarczyła etykietka śpiewaka rockowego, który czytał (i śpiewał) poezję, który rozwinął warsztat kompozytorski, opanował nowe technologie muzyczne. Albo Staszek Sojka: niegdyś jazzman i tylko jazzman — a z czasem wyzwolony, współczesny wokalista — piosenkarz, bodaj czy nie najpopularniejszy dziś w estradowym świecie Polak (nie licząc oczywiście Basi Trzetrzelewskiej)...

Martyna Jakubowicz od samego początku tym się wyróżniała (i wyróżnia), że nie należała do żadnej z mniejszości. Od samego początku estradowej kariery sprawiała wrażenie osoby absolutnie samodzielnej. Co więcej — samodzielnej prowokacyjnie, do tego stopnia, iż musiało to przeszkadzać w tzw. *robieniu kariery*...

Martyna Jakubowicz bywa zaliczana do szeroko rozumianego folk-rocka. Ale na dobrą sprawę — jest jedyną w Polsce przedstawicielką takiego właśnie sposobu grania i śpiewania. Sposobu w jakiś sposób zaczerpniętego od Dylana i Melanii, od amerykańskich wokalistek folkowych. Jakubowicz, jak one — śpiewa epickie opowieści o rzeczywistości. Niekiedy „podkręcone" szczyptą psychodelicznej, nieco hippisowskiej poezji. Nieco nostalgicznej, jakby odrealnionej. Piosenki (czy może raczej songi?), które śpiewa Martyna Jakubowicz są zazwyczaj matowe, zmętniałe, szaro-melancholijne. Jest to piosenkarstwo bez blasku, bez radości. Ale przy tym — piosenkarstwo to charakteryzuje się niezwykłą sugestywnością! Jest absolutnie własne dla Martyny Jakubowicz, jest nią po prostu...

Tuzinkowi artyści zrzeszają się w aliansach i *ruchach*. Nietuzinkowi robią swoje, nie zważając na opinie. Z całą pewnością Martynie Jakubowicz, piosenkarce nietuzinkowej, nie było łatwo zachować swą niezależność. Przez czas jakiś obawialiśmy się nawet zsunięcia tej wrażliwej artystki do dołu z odpadkami, noszącego nazwę *polski rock*. Ale płyta „Wschodnia wioska" dowodzi, że niebezpieczeństwo minęło. Jakubowicz pozostaje wciąż sobą!

SPORT

Entuzjaści z Zawady

Kiedyś była to wioska. Dziś Zawada jest dzielnicą Nowego Sącza. Tu właśnie, na peryferiach miasta, działają w Ludowym Klubie Sportowym prawdziwi entuzjaści sportu.

Ludowy Zespół Sportowy istnieje w Zawadzie od 1946 roku, klubem jest od 21 lipca 1984 r. Oczkiem w głowie działaczy — jak zresztą wszędzie — jest piłka nożna. Od 1981 roku przez trzy kolejne sezony piłkarze LKS „Zawada" występowali na boiskach klasy międzyokręgowej tarnowsko-nowosądeckiej. Wtedy to wzrosły ich apetyty. Zapragnęli unowocześnić zaplecze socjalne klubu. Kłopotów z realizacją śmiałych zamierzeń nie było. Zawada słynie z aktywności społecznej. Toteż podjętą w listopadzie 1981 roku decyzję o budowie stadionu sportowego z prawdziwego zdarzenia szybko zaczęto zamieniać w czyn. Prasa codzienna kolejno informowała o powstających w Zawadzie: kortach tenisowych, boiskach do małych gier i innych obiektach. Zapał miejscowych społeczników wsparła finansowo Miejska Rada Narodowa. W 1982 roku oddano do użytku kameralny stadion z widownią na 3 tys. miejsc i krytą trybuną. Wkrótce stanął pawilon klubowy z pomieszczeniami hotelowymi (50 miejsc noclegowych).

Dziś w Zawadzie stoi też hala, której budowę zainspirował ówczesny prezes klubu — **Franciszek Jasiński**, są trzy boiska piłkarskie (kolejna — czwarta już płyta, będzie oddana na wiosnę), szereg boisk do gier małych i siedem (sic!) kortów tenisowych. Za własne pieniądze zakupiono „autosan". Trzeba bowiem wiedzieć, że klub jest na własnym utrzymaniu. Jako jedyny klub w województwie prosperuje bez złotówki dotacji. Główne źródła dochodów to: prowadzenie działalności hotelarskiej, wynajem obiektów sportowych i... produkcja wyciągów narciarskich DJŁ-300 (10-12 rocznie). Szefem produkcji jest mgr **Eugeniusz Aleksander**, trener II klasy piłki nożnej, nauczyciel w Zespole Szkół Elektrycznych, zarazem główny menadżer przedsięwzięć inwestycyjnych w Zawadzie. Dzielnie sekunduje mu brat, inż. **Mieczysław Aleksander** — prezes klubu. 39-letni prezes jest nadal czynnym zawodnikiem sekcji piłkarskiej; występuje w drugim zespole. Zawodowo zaś sprawuje funkcję dyrektora Zespołu Szkół Budowlanych w Nowym Sączu. Właśnie on wykonał społecznie większość projektów związanych z budową obiektów klubowych. Zaangażowany i operatywny jest też sekretarz klubu, a zarazem kierownik sekcji piłkarskiej, **Antoni Ogórek**.

Tak więc, mimo występujących i tu trudności, dzięki zaangażowaniu miejscowych działaczy, przy ogromnym wysiłku mieszkańców Zawady oraz uczniów zespołów szkół budowlanych i elektrycznych — można było zdziałać wiele. Godne to pochwały i naśladownictwa przedsięwzięcie. Tym bardziej że wszyscy pracowali społecznie.

Dziś obiekty Ludowego Klubu Sportowego „Zawada" mogą zaimponować każdemu. Tym bardziej że ośrodek ów leży na skraju miasta, między lasem i górami, swoisty tu mikroklimat; w pobliżu przepływa Kamienica.

Nic dziwnego, że każdy chętnie tu zagląda. I to nie tylko uczestnicy obozów sportowych czy zgrupowań.

JERZY RZESZUTO

Powiedzieli nam

Maria Dyda — sekretarz SKS „Sokolica" Krościenko

— W klubie mamy dwie sekcje — kajakową, jako wiodącą i piłki nożnej, której szkoleniowcem jest **Zdzisław Wrona**. *O kajakarzach pisano ostatnio dużo na łamach „Dunajca", natomiast nic o piłkarzach, którzy zajęli trzecie miejsce w klasie „B" w poprzednim sezonie. Mamy też zespół juniorów.*

Dlaczego wspominam o sekcji piłkarskiej? Występują bowiem ogromne trudności z zakupem sprzętu sportowego dla tej właśnie sekcji. Brakuje piłek i butów piłkarskich. Jeżeli zaś znajdują się przypadkiem w sprzedaży, to nie można otrzymać rachunku za zakupiony towar, tylko... paragon na — przykładowo — dwie piłki. A poza tym sprzęt jest ogromnie drogi. Trudno w takiej sytuacji mówić o upowszechnianiu kultury fizycznej.

Jak możemy, tak radzimy sobie z postępującą z dnia na dzień drożyzną. Prowadzimy działalność gospodarczą. Mamy kiosk pamiątkarski przy ul. Jagiellońskiej w Krościenku, oferujemy też usługi hotelarskie — w budynku klubowym dysponujemy 40 miejscami noclegowymi. Rozbudowujemy hotelik klubowy. Przybędzie kolejnych 50 miejsc noclegowych. Będzie też jadalnia dla 100 osób, sauna i gabinet odnowy biologicznej dla zawodników. Nocleg u nas kosztuje 800 zł plus 10-procentowy dodatek na rzecz Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Turystyki. W lipcu mieliśmy komplet gości, jako że związani jesteśmy stałą umową z centralą „Cepelii" w Warszawie, która „podsyła" nam to dzieci na kolonię, to znów pracowników na wczasy. Dzięki tej współpracy klub nasz może utrzymać sekcję piłkarską.

Schroniska górskie PTTK

„Rzymianka" w Krynicy

Uroków Krynicy nie trzeba nikomu zachwalać. Jedno z największych uzdrowisk w kraju, położone w dolinie potoku Kryniczanki i jej dopływów — Czarnego Potoku i Palenicy. Krynica posiada dwa schroniska PTTK. Jedno na Jaworzynie Krynickiej, oddalone znacznie od miasta, drugie położone niemal w jego centrum i noszące nazwę „Rzymianka" (usytuowane na wysokości ok. 600 m n.p.m.).

Budynek „Rzymianki" powstał w latach 1928 — 1930, a jego właścicielem był Władysław Jamrozik. 12 października 1953 roku Zarząd Usług Turystycznych PTTK w Krakowie zawarł długoletnią umowę ze spadkobierczynią Władysława, Anną Jamrozikową, i wziął obiekt w dzierżawę. Po dokonaniu niezbędnych remontów urządzono w nim Dom Wycieczkowy PTTK.

Dom Wycieczkowy PTTK „Rzymianka" w Krynicy jest — jeśli chodzi o wnętrze — jednym z najładniejszych w tym rejonie schronisk turystycznych. Czynny jest cały rok. Od 1978 roku obiektem zarządza **Jacek Boroń**.

— *W „Rzymiance"* — mówi kierownik Jacek Boroń — *dysponujemy 52 miejscami noclegowymi w pokojach dwu- i trzyosobowych. Dysponujemy kawiarenką-bufetem, gdzie można napić się kawy lub herbaty. Z punktu gastronomicznego nikt nie korzysta; turyści sami przyrządzają sobie posiłki, mają własne kanapki lub konserwy. Niestety bywa, że przygotowują sobie posiłki gorące w pokojach, korzystając przy tym z kuchenek elektrycznych bądź... butli gazowych. Trudno się na to godzić, jako że niebezpieczeństwo pożaru jest duże. Personel mamy jednak zbyt nieliczny, by mógł wszystkiego doglądnąć. Jeśli chodzi o frekwencję, to podczas tegorocznych wakacji przewinęło się przez nasz obiekt około trzech tysięcy turystów. Na początku września frekwencja nieco spadła. Duże zapotrzebowanie na noclegi występuje w piątki i soboty. W pozostałe dni tygodnia jest u nas raczej pusto.*

(Rz.)

TADEUSZ STUDZIŃSKI (9)

STADNINA GUBERNATORA

Po południu na roli naszego gospodarza zjawił się niejaki Wierzba. Podobno członek jakiejś organizacji terenowej. Okazał nam pomoc i przywiódł ze sobą handlarza, trudniącego się przerzutem koni na Słowację. Wierzba poszedł z Silnym za dnia w Dolne Ciche, gdzie mieszkał handlarz.

Jeszcze w czasie śniadania zamówiłem u kobiet kilka garnczków masła. Góralki mieszkające poniżej naszej gazdówki robiły je w faskach, bo w domu gazdy opróżniliśmy wszystkie gliniane naczynia z kwaśnym mlekiem i śmietaną. Gdy Puma wracał z masłem, to sam, na kilkuset metrach drogi, zjadł bez zagryski półlitrowy garnuszek. Do kolacji przydzieliłem chłopcom po kwaterce masła na jednego i nikt nie zostawił reszty.

Widocznie wiadomość o koniach zatoczyła szerszy krąg, bo po wyjściu Wierzby z Silnym przyszedł na kwaterę drugi konspirator, pseudonim Pstrąg. Podobno był Bechowcem, a powoływał się na Akowski oddział Przyjaciela, któremu Pstrąg organizował żywność. Przybysz chytrze wywąchiwał, skąd mamy tyle koni i dokąd je prowadzimy? Rozmawiałem z nim nie w izbie, lecz na polu, gdzie przechadzaliśmy się w czasie wizyty Pstrąga. Wyczułem w nim zawiść, zresztą źle ukrywaną, że oto nie Przyjaciel z Wierzbą, lecz nieznany w tym terenie Kurzawa z „Chełmu" zawładnął taką wielką fortuną. Nie potrzebowałem powiernika i dlatego gawęda z Pstrągiem nie była ani przyjemna, ani interesująca.

W ciągu dnia znalazłem okazję do poufnej rozmowy ze stolarzem. Zgodził się wstąpić do terenówki Akowskiej i być odtąd naszym okiem i uchem w Bielance. Zależało mi właśnie na Bielance, gdyż tamtędy przechodził komunikacyjny szlak łączności z Oddziałem „Chełm". U stolarza będziemy zostawiali wiadomości o ruchach „Kurniawy", aby ci, co nas będą szukać, otrzymali od niego potrzebne wskazówki. Obiecał, że przy następnym spotkaniu opowie mi przebieg poszukiwań stadniny przez Niemców. Umówiliśmy się, iż w razie śledztwa stolarz powie żandarmom, że z Pieniążkowic prowadzono połowę koni pod Turbacz, a słyszał po drodze, że reszta koni została podzielona na kilka części i rozeszła się w rozmaite strony. Po omówieniu tych spraw stolarz zabrał się w końcu do drogi. Nie chciał robić przed nocą zawodu żonie, oczekującej go pewnie z baranim combrem w buraczkach i szpikowanym słoniną.

Pociemniało dobrze, gdy Wierzba przyprowadził kupca. Podobno król tutejszych przemytników, jak nas zapewniał gospodarz. Uwielbiam rozmowy z „królami", toteż z przyjemnością poznałem hurtownika z Dolnego Cichego. Nie przekroczył trzydziestki. Twarz zdrowa, wesoła, ubrany zamożnie, w długą skórę, wysokie buty, szasery z gabardiny, biały sweter, a na głowie skórzana czapka z ceratowym denkiem od deszczu. Jak prawdziwy burżuj. Nie miał na sobie nic góralskiego oprócz swetra. Każdy szczegół ceperskiej garderoby był szczytem wioskowej i nie tylko wioskowej elegancji. Zaraz weszliśmy do najbliższej stodoły, żeby zobaczyć towar. W świetle latarki „król" obejrzał całą piątkę ogierów i zdecydował się na parkę myszatych, które akurat stały na jednym klepisku. Właśnie tę samą parę przyjaciół, która uciekła nam spod lasku w Bielance. Krótki targ nastąpił w izbie, z której grzecznie usunęli się wszyscy cywile, a zostali tylko partyzanci. Przemytnik wyliczył mi na kolana pięćdziesiąt tysięcy „mynarek". Stanowiło to wówczas wartość czterystu dolarów. Wypłacił banknotami po sto złotych bez pięciusetzłotowych „górali" do prosiłem o drobne. Dla takiej fury pieniędzy opróżniłem płócienny mapnik rosyjski, jesienny podarunek od Żuka. Kupiec był na poziomie pod każdym względem. Po transakcji wyjął z kieszeni półlitrową butelkę i uderzeniem dłoni strzelił korkiem w sufit. Oprócz pary myszatych, powierzyłem mu na przerzut jeszcze dwa araby z pierwszej stodoły, po dwadzieścia pięć tysięcy za ogon, płatne w koronach na Słowacji przez odbiorcę.

Po raz pierwszy w partyzantce zapłaciłem za gościnę pieniędzmi. Gaździna się trochę wzdrygała, ale wzięła. Parę wiader mleka to nie żart. Uregulowaliśmy także za masło, płacąc kobietom setkami, bez reszty. Przypuszczam, że gospodarze mile nas wspominali. Jelitko zauważył, że zachowaliśmy się elegancko, jak prawdziwe „paniska".

Noc zapowiadała się dobrze. Łachy wyschły na pieprz i wkrótce wyszliśmy z meliny. Pozbieraliśmy resztę stada ze stodół, a gdy się konie razem zebrały — rżały i parskały, szczęśliwe, że są znów razem i na wolności. Koniki musiały odtąd przejść na regułę partyzancką: w dzień nudy pod dachem, a w nocy wędrówka. Radość arabków i nam się udzieliła. Po dymie z machorki, powietrze pachniało jak wino. Mroźna kopuła nieba migotała milionem diamentów. Księżyc jeszcze nie wstał. Po pełni coraz później wschodził. Pożegnanie z gazdami było serdeczne i poszliśmy w noc.

— Kto prowadzi tabun? — zapytał Malinowski. — Czy klacz Kiki?

— Dajcie siwka na czoło — zawołał Żbik. — Kiki zamyka pochód.

— Dlaczego chcesz albinosa na przodku? — spytałem Żbika.

— Bo będzie maskował z frontu kolumnę — odpowiedział. — On jeden, jest biały jak śnieg.

W ten sposób angielka została ochrzczona imieniem Kiki, na pamiątkę słynnej błyskawicy Jelitki, z Równi Krupowej.

Przez kawał drogi przyświecały gwiazdy. Na śniegu wystarczyło to zupełnie. Krajobraz tej części Podhala jest monotonny, prawie bezleśny, ale niebrzydki. Łyse pagóry jak bochny chleba i pola uprawne ciągną się kilometrami wzdłuż i wszerz. Szliśmy gładkim działem. Szpilkowe zagajniki z rzadka czepiały się wyciętych jarów, lub ostrzejszych zboczy, gdzie pług nie zdołał skaleczyć ziemi. Trasa prowadziła przez Maruszynę. Na czele wraz ze mną szedł Góra. Dziś jemu przypadło prowadzenie. Mieszkał w Cichem i powinien znać drogę. Ale Góra pewnie dawno tędy nie chodził, bo kołował. Poznawałem to po Gwieździe Polarnej, która wierciła się za plecami, coraz to na inny bok. Zresztą trudno było utrzymać południowy kierunek, jako że szliśmy polami, gdyż drogi pozaduwało. Dzisiejszy etap był krótki. Dlatego nie wypominałem Górze lekkiego błądzenia po rolach. Szło się ciągle pod górę i na południe. Pogubić się przy gwiazdach było niemożliwością. Przed północą wzeszedł ogryzek księżyca i umilał nam drogę do rana. Chociaż rogalik był cienki, to na bieli śniegu zrobiło się całkiem widno.

Gdy weszliśmy do wsi Międzyczerwienne, zainteresował mnie odmienny nieco charakter tutejszej zabudowy. Domy stały ciasno wszystkie szczytami do drogi. Może parcele mieli wąskie? Dachy pod gontem. Kalenice cięły niebo ostrymi liniami, równolegle do siebie. Sprawiało to wrażenie starodawnej ciesiółki. W obejściach oczywiście brak jakichkolwiek drzew. Zbyt dużo jest wśród górali cieśli, stolarzy i majstrów rzeźbiarskich i chyba dlatego żadne drzewo nie mogło dożyć pięćdziesiątki. Wszędzie domy toporne i pewnie od dwustu lat charakter wsi niewiele się zmienił. Jedna tylko zagroda wyglądała okazale. Domyślałem się, czy nie należy ona przypadkiem do rodziny Bustryckich, którzy mieli drewniane schronisko w Hali Gąsienicowej? Sporo grosza płynęło stamtąd na wiano Helci i Marysi, które znałem dobrze z kilku zim okupacyjnych. Na Hali właśnie dowiedziałem się, że mieszkają w Międzyczerwiennym. Na białym trakcie przez wieś nie było śladów ani sanek, ani ludzi, ale za to rysowały się regularnie cienie chałup. Prowadziliśmy konie środkiem ulicy. Aż dziw, że i tutaj żaden pies nie wyczuł obcych. Chłopcy także zwrócili uwagę na nie znany nam szyk domów, bo Malinowski zrobił uwagę:

— Patrzcie, jak tu ludzie dziwnie mieszkają. Inaczej niż u nas.

(ciąg dalszy nastąpi)

Nasza wieś

W Hańczowej

— *Rasa polska czerwona* — mówi **Ewa Tyka** — *wykształciła się przed wiekami w naszych warunkach i najlepiej się w nich czuje. Odznacza się cechami, których brak rasom wysokoprodukcyjnym: długowiecznością, zdrowiem, mocnymi racicami, przystosowaniem do polskiego klimatu, może jeść niemal byle co. Jeśli zaś uwzględnimy, że waga krów tej rasy jest o wiele mniejsza niż innych, a więc i zapotrzebowanie na pasze znacznie mniejsze — koszt otrzymania litra mleka jest niższy niż od krowy duńskiej lub angielskiej.*

Niestety — zanim to sobie uświadomiono, rasa polska czerwona została niemal całkowicie wyrugowana. Gdy w 1983 roku zadecydowano o konieczności jej utrzymania — trzeba było szukać po całym Podhalu, by stworzyć w Hańczowej stację hodowlaną stada zachowawczego bydła rasy polskiej czerwonej. — *To była niesamowita zbieranina* — wspomina pani Ewa. — *Stwarzała ogromne problemy. Kupowaliśmy krowy młode, ale również dwudziestoletnie. Wychowane w różnych warunkach u chłopów, nie mogły się przystosować do wspólnych, przestronnych obór, nie jadły kiszonki, pasły się wyłącznie chodząc na postronku za człowiekiem, broniły się przed elektryczną dojarką...*

W pierwszym roku zakupiono 108 krów i jałowic. Stopniowo dokupowano następne. Część okazała się nieprzydatna do hodowli. Do dziś przez stację w Hańczowej przewinęło się 260 krów, z czego utworzono stado 100 sztuk, dzielących się na 7 grup pozostających w ścisłym pokre-

Stanisław Tyka

wieństwie i mających każda swego buhaja. Taką grupą jest — na przykład — rodzina Jagi, krowy z pierwszego zakupu, która do dziś wywiodła trzy pokolenia.

Ta cała skomplikowana wiedza: tak dobierać krowy i buhaje, by wewnętrznym krzyżowaniem przywrócić czystą rasę, pozbyć się domieszki krwi obcej, odtworzyć i umocnić genotyp. Korzysta się z nasienia pobieranego od najlepszych byków i przechowywanego w stanie zamrożonym.

— *W Polsce* — informuje **Stanisław Tyka**, prywatnie mąż pani Ewy, a służbowo jej zwierzchnik, kierownik hańczowskiego Zakładu Produkcji Rolnej Nowosądeckiego Ośrodka Postępu Rolniczego — *są trzy stada rasy polskiej czerwonej, ale tylko nasze prowadzi typ górski. To bydło jest ciemniejsze, mniejsze, lepiej przystosowane do surowych warunków.*

Państwo Tykowie pracują w Hańczowej (z przerwami) od dziesięciu lat. Oboje ukończyli krakowską Akademię Rolniczą — on wydział ogólnorolny, ona zootechnikę. Utrzymują kontakt ze swą uczelnią, wykonują dla niej badania naukowe.

Odwiedzamy obory. W jednej — same cielęta. Przenosi się je tutaj, gdy mają około dwóch miesięcy i 50 kilogramów wagi. Już półroczne — przechodzą do innych obór; jałówki osobno, osobno byczki do hodowli, gdzie indziej bukaty do opasu. Gdy opasy osiągną wagę 320-400 kilogramów, zostają sprzedane zakładom mięsnym. W innej oborze — piękny byk „Irak", wyhodowany w Hańczowej. Jego nasienie, zamrożone, będzie służyło dalszej hodowli. Opodal kilka byczków różniących się wyglądem od reszty. To krzyżówki, efekt eksperymentów; w Zakładzie bada się także wpływ poszczególnych ras na cechy produkcyjne.

Jałówki są pod opieką **Mieczysława Kopcia**. Jest on również inseminatorem. W oborze krów mlecznych kończy się remont. Czysto tu, jasno, przy każdym stanowisku metryczka krowy. W rogu budynku kojczyki z cielaczkami. Stanowiska dorosłych zwierząt puste, krowy przebywają na pastwisku pod pieczą **Teresy Dudek**, której pomaga pan Leopold, emeryt. Pani Teresa pracuje tutaj od 1966 roku, kiedy to gospodarstwo należało jeszcze do technikum rolniczego. Zwierzęta tak się do niej przyzwyczaiły, że nie chcą słuchać nikogo innego. Teresa Dudek należy do seniorów 38-osobowej stałej załogi Zakładu, podobnie jak na przykład ślusarz **Andrzej Florek** — emeryt, który nadal pracuje na 1/4 etatu, lub **Aleksander Korzeń** — kierujący ciągnikiem.

Gospodarstwo w Hańczowej jest (ze względu na warunki klimatyczno-glebowe) typowo wypasowe. Od wiosny do jesieni bydło otrzymuje jedynie zielonkę z łąk i pastwisk, a zimą — kiszonkę z traw, sianokiszonkę i siano. Niewielkim jedynie uzupełnieniem są zakupowane pasze treściwe.

Krowy — choć jednej rasy — bardzo różnią się wielkością. Ich waga waha się od 370 do 550 kilogramów, wysokość w kłębie — od 116 do 130 centymetrów. Jednak nie wielkość decyduje o mleczności, lecz warunki bytowe i opieka. Na przykład Stora, zakupiona w grudniu 1985 roku, dawała mleko tylko przez 200 dni w roku i było go zaledwie 537 litrów rocznie. Dziś okres laktacji trwa u niej 305 dni, daje rocznie ponad 3390 litrów. 17-letnia Lipa daje mleko przez 361 dni — w ubiegłym roku 3724 litry, o zawartości 4,09 % tłuszczu. Rekordzistką jest Wezera, która w 1987 roku w ciągu 305 dni dała 4047 litrów mleka o 4,24 % tłuszczu. Znamienne przy tym, że krowy wyhodowane w Hańczowej mają już podczas pierwszej laktacji wydajność większą niż ich matki podczas drugiej — trzeciej. O ile więc w 1984 r. od każdej krowy uzyskano przeciętnie 934 litry mleka o zawartości 3,96 % tłuszczu, to w 1987 r. już 2300 litrów.

Wraz z wydajnością zwiększa się ilość mleka sprzedawanego przez Zakład: w 1984 r. — 50,5 tysiąca litrów, w 1986 r. — 91,6 tysiąca, a w ciągu czterech pierwszych miesięcy roku obecnego — już 49,9 tysiąca litrów.

Oprócz krów — hoduje się w Zakładzie owce. Stado znajduje się w Ropkach opodal Hańczowej. Liczy 430 matek rasy „polska owca górska". Tu również prowadzi się eksperymenty — pod kierunkiem prof. **Juliana Ciurusia** z Zakładu Doświadczalnego w Bielance, należącego do Instytutu Zootechniki, wdraża się krzyżowanie tej rasy z rasą fryzyjską i czarnogłówką. Fryzyjska rozwija się bardzo szybko i jest wyjątkowo plenna, zaś czarnogłówka ma dużo mięsa.

W owczarni trwa szczepienie preparatem „Evetsel". Zajmuje się tym **Ryszard Bukowski** — jeszcze przed miesiącem weterynarz w Uściu Gorlickiem, obecnie pracownik Zakładu. — *Ma znakomitą rękę do zwierząt* — zaznacza Stanisław Tyka. — *Zabiegi przeprowadza tak szybko, że zwierzę nie zdąży się przestraszyć.*

Ewa Tyka

Ewa Tyka prowadzi nas na łąkę za owczarnią. Musi zajrzeć do swych ukochanych koni. Konie są bardzo przydatne do nadzorowania pracy, kierownik objeżdża wierzchem swoje włości. Ziemie Zakładu — 600 hektarów — rozciągają się na wysokości 500-600 metrów nad poziomem morza, wiele z nich to wąwozy i chaszcze. Aż 100 hektarów stanowią lasy i nieużytki. Reszta — to użytki zielone — łąki i pastwiska. Do ich obsługi jest 10 ciągników kołowych i 2 gąsienicowe, kosiarka, koparkoładowacz, 5 przyczep samozbierających, 5 roztrząsaczy do nawozów, przyczepa asenizacyjna, sieczkarnia i inny, drobniejszy sprzęt. Są 2 „stary" do transportu zewnętrznego, w samym gospodarstwie transport odbywa się przy pomocy ciągników.

Maszyny stoją obecnie pod niebem — wiaty są akurat w budowie bądź przebudowie. Cały teren Zakładu w Hańczowej do jedna wielka budowa: przerabia się obory i owczarnie, powstaje oczyszczalnia ścieków (o 2 bioblokach), przebudowano sieć elektryczną z napowietrznej na podziemną, na ukończeniu jest ubojnia, rosną mury domu o 10 mieszkaniach dla pracowników. Większość osób zatrudnionych w Hańczowej mieszka w domach zakładowych. Jest 18-lokalowy blok tu, na miejscu, i kilka domków przejętych wraz z gruntami z Państwowego Funduszu Ziemi, 2 rodziny zajmują dom w Ropkach, przy owczarni. — *Gdybyż jeszcze Gminna Spółdzielnia z Uścia Gorlickiego lepiej zaopatrywała nasz sklepik spożywczo-przemysłowy, nie narzekalibyśmy!* — wzdycha Ewa Tyka.

Państwo Tykowie pokazują mi swoje „królestwo" dumni, że Zakład rozrasta się, że coraz lepsze są w nim warunki pracy. I zapraszają, bym przyjechała ponownie wówczas, gdy prace budowlane zostaną ukończone.

Zdjęcia — ZBIGNIEW BOCHEŃSKI

Jesienne zasiewy

Niejeden rolnik zastanawia się, czym obsiać pole, gdy zebrane zboże nie jest tak dorodne jak w latach poprzednich. Ze względu — między innymi — na wystąpienie w bieżącym roku szeregu chorób grzybowych, na zbożach zbiera się bardzo dużo pośladu.

Gdy brak ziarna z własnej produkcji lub mamy nasiona nie najlepszej jakości — istnieje szansa zakupu materiału siewnego w magazynach Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" oraz w punktach sprzedaży nasion i sadzeniaków, prowadzonych przez Hodowlę Buraka Pastewnego.

Ustawą z 10 października 1987 r. zmieniono obowiązek odnawiania materiału siewnego zbóż. Zamiast **planowego odnowienia** — wprowadzono zasadę **powszechności zaopatrzenia** rolników w kwalifikowany materiał siewny. Każdy rolnik może więc kupić ziarno siewne w wymienionych wyżej punktach.

W sprzedaży znajdują się odmiany zrejonizowane, dostosowane do uprawy na terenie naszego województwa i gwarantujące uzyskanie wysokich plonów. Materiał siewny dopuszczony do sprzedaży jest materiałem kwalifikowanym, o sprawdzonej czystości nasion, zdolności i energii kiełkowania. W każdym punkcie sprzedaży znajdują się świadectwa kwalifikacji nasion przeznaczonych do sprzedaży, zawierające niezbędne informacje o jakości ziarna.

W bieżącym roku planowana jest sprzedaż na terenie Nowosądeckiego następujących **odmian poszczególnych gatunków zbóż ozimych.**

Pszenica ozima — *Liwilla, Emika, Polanka, Jawa, Panda* i *Koda*. **Pszenżyto ozime** — *Grado, Malno* i *Dagro*. **Żyto ozime** — *Dańkowskie Złote* i *Motto*.

Pszenice — *Liwilla, Emika* i *Polanka* to odmiany bardziej znane. *Jawa* charakteryzuje się małą zimotrwałością, bardzo krótką słomą, dużą odpornością na wyleganie, dobrą zdrowotnością i dużymi wymogami glebowymi. *Pandę* charakteryzuje duża zimotrwałość, średnia odporność na wyleganie, dobra zdrowotność i przeciętne wymagania glebowe. *Koda* jest odmianą o średniej zimotrwałości, dużej odporności na wyleganie, dobrej zdrowotności i przeciętnych wymaganiach glebowych.

Pszenżyta *Grado* i *Dagro* są znane. *Malno* to odmiana o średniej zimotrwałości i średniej odporności na wyleganie.

Do mniej znanych odmian żyta ozimego należy *Motto* — o dobrej zimotrwałości i zdrowotności, dużej odporności na wyleganie i przeciętnych wymaganiach glebowych.

Planując do siewu poszczególne odmiany należy pamiętać, że żadna — choćby najlepsza — nie da wysokiego plonu, jeżeli nie zapewni się roślinom odpowiednich warunków wzrostu i rozwoju.

mgr inż. ZUZANNA LELITO

Uprawa zbóż ozimych

Wrzesień, a zwłaszcza jego druga i trzecia dekada — to w naszym województwie okres **siewu zbóż ozimych.** Wysiewa się dość dużo pszenicy, żyta i pszenżyta, a także niewielkie ilości jęczmienia.

Przypomnijmy, jakie czynniki mają wpływ na wysokość plonu zbóż.

Przedplon. Generalną zasadą doboru przedplonu pod zboża jest to, aby unikać uprawy zbóż po sobie, gdyż powoduje to obniżkę plonów. Wyjątek stanowi owies uprawiany po okopowych na oborniku. Do najlepszych przedplonów należą: rzepak ozimy, rośliny strączkowe i motylkowe zbierane na zielonkę lub na nasiona, motylkowe i inne rośliny wieloletnie. Odczyn gleby powinien być zbliżony do obojętnego.

Uprawa gleby. Glebę trzeba strannie przygotować, aby rośliny mogły się dobrze ukorzenić pod ziemią, co sprzyjać będzie lepszemu ich przezimowaniu. Orkę siewną pod żyto, jęczmień i pszenżyto powinno się wykonać na co najmniej 2 tygodnie przed planowanym siewem, gdyż rośliny te wymagają gleby odleżałej. Sprzyja to lepszemu zimowaniu. Pod pszenicę ozimą glebę należy zaorać na 7-10 dni przed planowanym siewem i natychmiast zabronować.

Normy wysiewu ziarna wynoszą: pszenicy ozimej 200-250 kg nasion na 1 ha, jęczmienia ozimego 100-180 kg na 1 ha, pszenżyta ozimego 180-200 kg na 1 ha i żyta ozimego 150-180 kg nasion na 1 ha. Ziarno przeznaczone do siewu winno być zdrowe, wolne od zanieczyszczeń. Zdolność kiełkowania powinna wynosić co najmniej 90 % (na 100 wysianych nasion — co najmniej 90 musi wytworzyć dorodny kiełek). Przed siewem nasiona należy bezwzględnie zaprawić, aby zapobiec rozwojowi chorób grzybowych przenoszonych przez nasiona. Poleca się zaprawy: *Oxafun T, Funaben, Baytan Uniwersal.* Na 100 kg ziarna stosuje się 200-250 g preparatu.

Optymalny termin zasiewu zbóż ozimych dla warunków naszego województwa przedstawia się następująco: jęczmienia 1-10 września, pszenżyta i żyta 5-20 września, pszenicy 20-30 września. Opóźnienie siewu powoduje spadek plonu, głównie przez zmniejszenie krzewienia roślin i słabsze ich ukorzenienie, a tym samym gorsze przezimowanie.

Jeżeli trzeba zwalczać chwasty — szczególnie miotłę zbożową — należy zastosować zaraz po siewie pszenicy i pszenżyta *Pielisam* w ilości 1,5 — 1,75 kg/ha. Preparat ten niszczy również wiele innych chwastów. Należy także zadbać o prawidłowe nawożenie zarówno przedsiewne, jak i pogłówne już w okresie wegetacji.

mgr inż. ZUZANNA LELITO

Kolumnę „Nasza Wieś" Nowosądeckiego Ośrodka Postępu Rolniczego redaguje ELŻBIETA GLINKA

Elektro GRAFIT
SzeW NOWY SĄCZ

Pracy nie brakuje

Mówi zastępca kierownika działu programowania, modernizacji i importu inwestycyjnego, **Józef Wach:** — Nasza pięcioosobowa komórka działa od marca bieżącego roku. Podlega pod pion inwestycyjny zakładu. Jej zadaniem jest planowanie modernizacji SZEW (przewidzianej w podpisanym kontrakcie z austriacką firmą Vöest Alpine) oraz załatwianie wszystkich spraw technicznych związanych z importem urządzeń. Sprowadzimy ich około pięćdziesięciu. Najważniejsza jest instalacja dozowania i transportu w wydziale młynowni. Jej montaż przewidujemy w 1991 roku. Istotna dla produkcji w SZEW jest także nowa instalacja do nasycania elektrod. Sprowadzimy również dwie linie do automatycznej obróbki elektrod grafitowych i złącz.

Obecnie negocjujemy z pięcioma dostawcami warunki zakupu urządzenia do czyszczenia spalin, które zainstalujemy w piecowni przy piecach kręgowych. Prawdopodobnie kupimy elektrofiltry suche z RFN. Sprowadzimy również z RFN nowoczesne filtry pyłowe do instalacji linii obróbki oraz sporo elektrofiltrów dla obrabiarek przeznaczonych do wyrobów węglowych.

Już wkrótce uruchomimy telefax, mamy już zgodę na jego zainstalowanie. Kupimy dwie stacje monitoringowe (po 0,5 mln marek zachodnioniemieckich każda), które w sposób automatyczny będą kontrolować temperaturę powietrza, ciśnienie atmosferyczne, siłę i kierunek wiatru, wielkość opadów, stężenie tlenku węgla, dwutlenku węgla, tlenków azotu, siarki, siarkowodorów i węglowodorów aromatycznych.

Kosztem 3 mln marek zachodnioniemieckich sprowadzimy jeszcze w tym roku urządzenie do nasycania wyrobów węglowych i grafitowych stopami metali. Jego montaż potrwa miesiąc, rozruch — trzy miesiące, a więc w pierwszym półroczu przyszłego roku powinny być widoczne efekty pracy tego urządzenia. Także w tym roku kupimy żuraw samojezdny o udźwigu 32 ton, system mikrokomputerowy dla działu informatyki, a także dla dziesięciu komórek jednego z pieców kręgowych wyposażenie w palniki gazo — dynamiczne, które powinny zmniejszyć emisję spalin w piecowni.

Taaka ryba!

W SZEW mamy wielu zapalonych wędkarzy. W styczniu tego roku wspólnie z pracownikami Sądeckich Zakładów Naprawy Samochodów założyli koło Polskiego Związku Wędkarskiego. Zrzesza stu trzydziestu członków. Dotychczas siedmiokrotnie organizowano zawody — między innymi mistrzostwa muchowe koła i zawody o Puchar Dyrektora SZEW. Wędkarze z koła działającego przy naszym zakładzie zajęli pierwsze miejsce w zawodach spinningowych Okręgu.

Od początku starają się o powierzenie im patronatu nad wyrobiskami pożwirowymi w Biegonicach. Zamierzają je oczyścić i zarybić. Prezes Koła, na co dzień komendant Zakładowej Obrony Cywilnej w SZEW — **Jerzy Jurczak** poinformował mnie, że wędkarze porządkowali społecznie brzegi Dunajca, a obecnie inwentaryzują wszystkie dzikie wysypiska śmieci i nielegalne wypusty nieczystości z szamb. Troska o czystość naszych rzek i potoków to jeden z podstawowych celów Polskiego Związku Wędkarskiego.

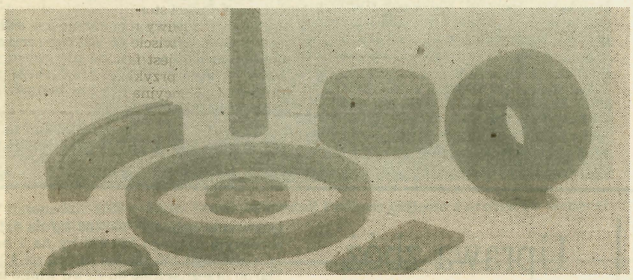

Drobne elementy grafitowe

Wiadomości związkowe

Zarząd Związku Zawodowego Pracowników SZEW proponuje wprowadzenie nowych stawek dodatków za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia lub uciążliwych. Oto fragmenty uchwały:

W związku z wdrożeniem aneksu nr 2 do polityki płacowej na III kwartał bieżącego roku, co spowodowało, zgodnie z oczekiwaniami załogi, wzrost płacy zasadniczej o 65 procent oraz płacy brutto o około 94 tys. zł miesięcznie, obecna wysokość dodatkowego wynagrodzenia za pracę wykonywaną w warunkach szkodliwych dla zdrowia lub uciążliwych albo niebezpiecznych straciła na znaczeniu i swojej wartości materialnej.

Mając na uwadze liczne postulaty załogi, szczególnie z wydziałów produkcyjnych, idące w kierunku podwyższenia wymienionych dodatków, Zarząd Związku Zawodowego Pracowników SZEW wnioskuje o wprowadzenie w trybie pilnym z dniem 1 października br. nowych stawek dodatków w następujących wysokościach:

Za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia lub uciążliwych:
1 stopień — 12 zł za godzinę,
2 stopień — 18 zł za godzinę,
3 stopień — 24 zł za godzinę,
4 stopień — 30 zł za godzinę.

Za pracę w warunkach niebezpiecznych:
1 stopień — 15 zł za godzinę,
2 stopień — 25 zł za godzinę.

RENOALD SOKOŁOWSKI
(przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników SZEW)

Kolumnę „Elektrografit" Sądeckich Zakładów Elektro-Węglowych redaguje DANUTA BINEK

Uwaga rolnicy

Stołówka zakładowa kupi tusze wołowe do rozbioru oraz fasolę „jaś". Zainteresowanych sprzedażą prosimy o kontakt z kierowniczką **Elżbietą Strojny.**

Sześć miesięcy bez strajków?

Oświadczenie kierownictwa Federacji Hutniczych Związków Zawodowych w Polsce:

Z wielkim niepokojem od wielu tygodni obserwujemy gwałtownie pogarszający się stan naszej gospodarki i potęgujące się trudności życia obywateli. Uzasadnione spory płacowe, konflikty i strajki pogłębiają chaos niosący zwątpienie ludzi pracy w możliwość wyjścia kraju z głębokiego kryzysu. W tej sytuacji utworzenie nowego rządu z udziałem wszystkich sił reformatorskich reprezentowanych w parlamencie wywołuje szeroki rezonans społeczny i nadzieje na poprawę, na lepsze i godne życie w naszej Ojczyźnie.

Zdając sobie sprawę, że tylko wspólny wysiłek wszystkich Polaków, efekty ich pracy i odpowiedzialność mogą doprowadzić do oczekiwanych przez społeczeństwo zmian — proponujemy stworzenie rządowi premiera Tadeusza Mazowieckiego warunków podjęcia skutecznej działalności. Z tego też względu zwracamy się do wszystkich ogólnopolskich organizacji związkowych, związków zawodowych w zakładach przemysłowych, urzędach, instytucjach, do dyrekcji i rad pracowniczych o rozwiązywanie wszelkich spraw w drodze negocjacji i rozmów bez zatrzymywania produkcji, świadczenia usług i obsługi obywateli w urzędach.

W tej kwestii proponujemy sześciomiesięczne moratorium, by dać szansę nowemu rządowi na rozpoczęcie skutecznej działalności dla ratowania gospodarki, ratowania Polski.

ADRIAN ALLAMODA
(przewodniczący FHZZ)

Drożej!

Wacław Brudniewicz, główny specjalista do spraw ekonomicznych, informuje: — *Od 15 sierpnia br. wzrosły o 50 procent ceny wyrobów SZEW. Powód? Niezależny od zakładu wzrost kosztów produkcji spowodowany między innymi wyższymi cenami surowców (przede wszystkim stopów, np. stop łożyskowy podrożał siedmiokrotnie!) krajowych i importowanych. Od 1 września płacimy o 100 procent więcej za gaz, podrożała także energia elektryczna. Nie bez wpływu na koszty własne przedsiębiorstwa są również wypłacane załodze rekompensaty i zasiłki. Ceny naszych wyrobów podnieśliśmy zgodnie z porozumieniem podpisanym między SZEW a ministrem finansów w sprawie ustalania cen umownych na nasze wyroby w relacji do uzyskiwanych w eksporcie cen transakcyjnych.*

Wokół odzieży roboczej

— **Jakie są zasady przydziału odzieży i obuwia roboczego?** — pyta tokarz **Jan Adamek.**

W myśl uchwały nr 136 Rady Ministrów z 12 lipca 1981 r. — odzież robocza powinna być przydzielana pracownikom stale wykonującym prace brudne bądź takie, przy których ich własna odzież narażona jest na szybkie zniszczenie. Te same kryteria obowiązują o przydziale obuwia roboczego. O formie przydziału odzieży i obuwia roboczego decyduje zakład pracy. Daje je albo do stałego użytkowania, albo w systemie tzw. rotacyjnym, polegającym na organizowaniu przez przedsiębiorstwo prania i konserwacji oraz stałej wymiany tego, co zostało zabrudzone lub uszkodzone.

Zakłady pracy ustalają także tabele norm przydziału odzieży i obuwia roboczego, a więc między innymi okresy ich używalności. Odzież, która po upływie tego okresu nie jest jeszcze zniszczona, powinna być użytkowana nadal, zaś pracownik, który ją oszczędzał, ma prawo do ekwiwalentu pieniężnego.

Pracownik podejmujący pracę powinien otrzymać przewidzianą dla jego stanowiska odzież i obuwie robocze bezzwłocznie po przystąpieniu do pracy. W razie spóźnienia przydziału, przysługuje mu ekwiwalent pieniężny za zniszczone ubranie własne.

Wysokość ekwiwalentu pieniężnego oblicza się według cen podstawowych rodzajów odzieży. Wykaz taki na rok bieżący ustala zarządzenie ministra pracy i polityki socjalnej z 15 czerwca br. Przykładowo cena średnia ubrania roboczego wynosi 7 200 zł, kombinezonu — 5 959 zł, spodni roboczych — 3 900 zł, koszuli flanelowej — 3250, butów filcowo-skórzanych — 12 950 zł, butów gumowych — 2 650 zł.

Wymienione ceny stanowią podstawę do ustalenia miesięcznego lub kwartalnego ekwiwalentu pieniężnego za odzież i obuwie robocze używane od 1 stycznia br. ponad obowiązującą normę zużycia lub za okres, w którym pracownik wykonywał pracę we własnej odzieży.

Przy ustalaniu rzeczywistego czasu używania odzieży i obuwia roboczego uwzględnia się czas przepracowany wraz z urlopem wypoczynkowym. Nie wlicza się natomiast innych okresów nieobecności w pracy trwających jednorazowo ponad miesiąc. Pracownikom zatrudnionym w niepełnym wymiarze godzin pracy ustala się dłuższy okres używalności odzieży.

W razie rozwiązania stosunku pracy; pracownik ma obowiązek zwrócić zakładowi posiadaną odzież i obuwie robocze lub kwotę odpowiadającą niezamortyzowanej części ich wartości. Zakład może nawet tę kwotę obniżyć.

Odzież i obuwie nie podlegają zwrotowi jedynie w następujących przypadkach: śmierci pracownika, przejścia na rentę lub emeryturę, używania odzieży i obuwia roboczego przed rozwiązaniem stosunku pracy przez okres przekraczający 75 procent okresu używalności wydanych pracownikowi sort.

Wypadek

Pod koniec sierpnia doszło w naszym zakładzie do wypadku, w którym śmierć poniósł 45-letni Adam H., od 22 lat pracownik wydziału obróbek. Okoliczności zdarzenia badała komisja w składzie: zastępca dyrektora do spraw technicznych — **Adam Migacz,** Zakładowy Społeczny Inspektor Pracy — **Kazimierz Maciaś** i kierownik działu bhp — **Antoni Tomski.** Oto fragmenty protokołu:

Adam H. zgłosił się do pracy na drugą zmianę około godz. 15 29 sierpnia br. Od początku zmiany pracował na suwnicy hali nr 3. Z wyjątkiem przerwy nie opuszczał suwnicy do godz. 21.30. Udał się wówczas do brygadzisty, aby wziąć noże do ostrzenia i dostarczyć je do narzędziowni, następnie wrócił i sprzątał stanowisko pracy. Brygadzista poprosił go o przyniesienie nowych noży. Okazało się jednak, że ktoś wcześniej je pobrał. Obydwaj — brygadzista i Adam H. — udali się do 4 nawy. Adam H. zatrzymał się przy 1 nawie, a stamtąd prawdopodobnie wyszedł na zewnątrz wydziału.

Adama H. zaczęto poszukiwać, ponieważ nie było go w łaźni w porze, w której zwykle się mył. Około godziny 23 zawiadomiono o nieobecności Adama H. dyspozytora zakładu. Poszukiwania, przede wszystkim w wydziale i jego pobliżu, nie przyniosły rezultatu. Brali w nich udział pracownicy straży pożarnej i przemysłowej, a teren oświetlano przy pomocy reflektorów wozu strażackiego. Zwłoki Adama H. znaleziono dopiero około godz. 8 w pobliżu 70-metrowego komina nowej grafitowni. W poszukiwaniach (od godz.7) brali udział pracownicy wydziałów produkcyjnych. Zwłoki Adama H. odnalazł pracownik wydziału piecowni.

Pozostawiony na górnym podeście komina kask Adama H. wskazuje, że upadek nastąpił z podestu znajdującego się na wysokości 70 m. Jak zeznają świadkowie, Adam H. kominami przy grafitowni interesował się parę tygodni przed wypadkiem (widywano go w ich pobliżu). Stąd można wyciągnąć wniosek, że myśl popełnienia samobójstwa zrodziła się u niego znacznie wcześniej. Można również przyjąć, iż Adam H. sam przygotował wejście na drabinę stałą z posadzki, układając drabinę wspornikową do podtrzymywania instalacji elektrycznej oraz paletę. Ze względu na rodzaj drabiny stałej, wejście na wysokość 70 metrów wymagało znacznego wysiłku.

Zespół po rozpoznaniu okoliczności zdarzenia kwalifikuje je jako przypadek targnięcia się na życie przez Adama H. W czasie przeprowadzonego szerokiego rozpoznania nie natrafiono na okoliczności mogące budzić inne podejrzenia. Jednocześnie sprawę natychmiast przekazano stosownym organom Urzędu Spraw Wewnętrznych. Bazując na posiadanych materiałach, można domniemywać, że przyczyną samobójstwa Adama H. były problemy pozasłużbowe.

Głos Glinika

Udajemy, że pracujemy?

Jednego z wakacyjnych dni na 7000 osób zatrudnionych w „Gliniku" — 1732 nie było w pracy. 704 pracowników wzięło urlopy wypoczynkowe, urlopy okolicznościowe — 16, na zwolnieniach chorobowych przebywało 704, na delegacjach — 42, prace społeczne poza zakładem wykonywało 10 osób, 8 poprosiło o zwolnienia bezpłatne, 108 absencji było niewyjaśnionych, dzień wolny miało 100 zatrudnionych w systemie czterobrygadowym. Spośród 1485 pracowników fizycznych, którzy nie przyszli tego dnia do pracy — jedna trzecia to zatrudnieni przy bezpośredniej produkcji. W wydziale konstrukcji stalowych na 161 spawaczy — na trzech zmianach pracowało tylko 95, choć dla zachowania ciągłości produkcji może tu zabraknąć najwyżej 10 procent obsady.

Komentując letnią absencję, kierownik wydziału narzędzi rotacyjnych, **Leszek Muszyński**, powiedział: — *Bardzo często dzieje się tak: pracownik prosi o dzień urlopu, dostaje go, ale nie przychodzi również następnego dnia, a później przynosi zwolnienie lekarskie. Były przypadki, że najpotrzebniejszym robotnikom odmawiałem zgody na urlop, ale oni i tak nie przychodzili do pracy, lecz przynosili po kilku dniach zwolnienie lekarskie. Jeśli pracownik przedstawia mi „L-4" — choć wiem, że nie był chory, nie mogę podważać decyzji lekarza i wyciągać konsekwencji.*

Jerzy Markowicz, kierownik wydziału obróbki cieplnej, mówił: — *Mam 14 ludzi na chorobowym i 12 na urlopach, do pracy nie przyszło więc około 20 procent załogi. Urlop należy się każdemu zatrudnionemu, z drugiej strony robotnik powinien myśleć i o interesie swojego zakładu. Dopóki jednak nie dowartościuje się należycie pracy, przedsiębiorstwo nie będzie szanować robotnika, a on — przedsiębiorstwa.*

Stanisław Zbylut, kierownik wydziału odlewni i modelarni, informował: — *Część załogi wydziału pracuje w systemie akordowym, zaś pozostała część ludzi pośrednio produkcyjnych rozliczana jest z tonażu. A więc od tego, ile zrobi np. rdzeniarz, zależą zarobki suwnicowego. Właśnie dlatego tak ważna jest u nas pełna obsada. Wyliczyłem że w czerwcu tylko formierze opuścili 125 dni roboczych. Jeśli jeden powinien wytworzyć dziennie 600 kilogramów produkcji, zaległości miesięczne urastają już do dziesiątków ton. Opóźnienia takie trudno odrobić.*

Tak więc było w fabryce tylko jednego dnia. Czy w pozostałe wakacyjne dni absencja spadła? Niestety, nie. „Glinik" nie jest wyjątkiem, nasze krajowe przedsiębiorstwa nęka plaga absencji. Oto dane:

W 1988 roku statystyczny polski robotnik przepracował tygodniowo tylko 33,2 godziny. W tym roku zapewne będzie podobnie. Jak wynika z badań GUS, praca w dalszym ciągu traktowana jest „na luzie". Teoretycznie — gdyby wierzyć rozmowom Polaków w kolejkach czy na imieninach — wszyscy „zaharowują się". W praktyce jednak znaczna część godzin spędzona przy warsztacie, to czas zmarnowany. Bo też bardzo często robotnicy stoją lub siedzą bezczynnie, czekając na materiał, którego właśnie zabrakło, na narzędzia, które gdzieś się zapodziały, na części... po które dopiero wyruszył zaopatrzeniowiec, na mechaników, którzy muszą usunąć uszkodzenie maszyny... Plagą jest też załatwianie podczas dniówki spraw osobistych, spóźnianie się do zakładu oraz wcześniejsze opuszczanie stanowiska pracy. GUS twierdzi, że firmom chyba niezbyt zależy na pilnowaniu robotników, skoro ci zamiast pracować — odpoczywają.

Okazuje się, że przeciętny polski robotnik w ubiegłym roku nie przepracował (oprócz urlopów wypoczynkowych i profilaktycznych) 203 godzin. Co w tym czasie robił? Przeważnie chorował, opiekował się dzieckiem — był zajęty, lecz nie tym co trzeba. Absencję mu usprawiedliwiono. Nieobecności nieusprawiedliwione stanowiły zaledwie 1,5 proc. tych 203 godzin.

Badania GUS potwierdzają powszechną opinię, iż nie jest trudno zaprowadzić dyscyplinę w firmie zatrudniającej maksimum 500 osób. W dużych przedsiębiorstwach, a te w naszej gospodarce dominują, pomimo armii starażników przemysłowych i rozbudowanych działów kadr można kombinować do woli... Ubiegłoroczne rekordy statystyczne mogą więc być powtórzone.

Czy tak ma wyglądać doganianie Europy?

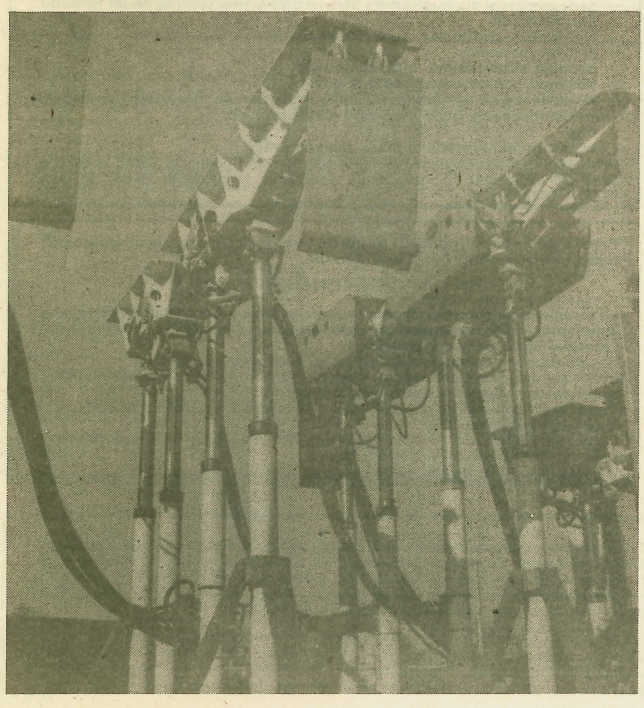

Lekkie obudowy przesuwane

Fot. WŁADYSŁAW PRZYBYŁOWICZ

Nie czyń drugiemu...

Nie ma narady, podczas której pracownicy, wśród wielu wniosków i postulatów, nie zgłosiliby potrzeby poprawy warunków socjalno-bytowych. Po jakimś czasie kierownictwo fabryki przeznacza na ten cel środki i szatnie oraz jadalnie poszczególnych wydziałów są remontowane. Zaopatrzeniowcy dwoją się i troją, ale zdobywają prysznice, umywalki, kafelki, sedesy. Załoga otrzymuje estetycznie urządzone pomieszczenia. Ale na jak długo?

Już po kilku dniach kurki czy syfony zmieniają właścicieli. Umywalki i sedesy są popękane, a niektóre wręcz rozbite. W jadalniach i szatniach jest ponownie brudno. I znów pędzcas narad wydziałowych postuluje się poprawę warunków socjalno-bytowych...

Kto dewastuje jadalnie i szatnie? — *Kiedy pokazuję pracownikom uszkodzoną muszlę klozetową czy umywalkę, obruszają się: jaki wandal to zrobił?...* — powiedział kierownik wydziału mechanicznego, **Leon Wańczycki**. — *Ale przecież trudno zwalić winę na krasnoludki, bo one na przykład nie zdołałyby odcisnąć śladu buta na ścianie na wysokości prawie 2 metrów od podłogi... Ustaliłem więc, że za zniszczony sprzęt potrącamy pieniądze wszystkim pracownikom wydziału.*

Dlaczego nie dbamy o czystość w wagonach kolejowych, publicznych w.c. i na ulicy? Bo ulica nie nasza, podwórko też, podobnie obiekty publiczne czy zakłady pracy... Aż dziw, jak trudno nie tyle o społeczną czy obywatelską, ale o normalną ludzką postawę...

Dzielmy inaczej

Od dłuższego czasu trwa dyskusja nad zasadnością podziału zakładowych funduszy — socjalnego i mieszkaniowego. Sejm IX kadencji nie zdążył z nowelizacją ustawy o tych funduszach. Zanim nowi posłowie wezmą sprawy funduszu socjalnego i mieszkaniowego na warsztat, posłuchajmy co proponuje suwnicowa **Alicja Mróz:**

— *Największą część funduszu socjalnego przeznacza się na refundowanie wczasów pracowniczych (m.in. wczasy dla dzieci i młodzieży — kolonie, obozy). Sporą część pochłaniają różnego rodzaju dotacje — na rozwój sportu, dla pracowniczych ogródków działkowych, dla Obrony Cywilnej itp.*

Sam podział tego funduszu, to swoistego rodzaju licytacja — kto głośniej krzyczy, ten ma. Nie krzyczą tylko ci pracownicy, którym naprawdę potrzebne są pieniądze — ojcowie czy matki wielodzietnych rodzin, ludzie znajdujący się w trudnych warunkach materialnych. Więc dla nich pozostaje — co łaska. Krzyczy też grupa zapalonych wczasowiczów i turystów, którzy zwiedzili już sporo, ale chcieliby jeszcze więcej.

Uważam, że dotacje na sport, turystykę i wypoczynek to szczególnie w obecnej sytuacji rzecz paradoksalna. To wspinaczka części załogi po plecach znacznej większości. Zapalony sportowiec czy turysta nich sobie w pełni korzysta z dobrodziejstw tych form wypoczynku, ale nie kosztem całej załogi! Przeznaczmy więc te fundusze (dotacje) na zapomogi dla rodzin w trudnej sytuacji (a takich wkrótce sporo przybędzie), bądź podzielmy fundusz między wszystkich pracowników.

Urlop zleceniobiorcy

Bronisław Śliwa — pyta: — **Czy należy mi się jakiś urlop wypoczynkowy, skoro po przejściu na emeryturę nadal pracuję w zakładzie na podstawie kolejnych, zawieranych na okres roczny, umów zleceń?**

Prawnik **Tadeusz Radziński** wyjaśnia: — Osoby wykonujące pracę na podstawie umowy zlecenia nie są pracownikami, a wobec tego nie mają do nich zastosowania przepisy prawa pracy. Uprawnienia tych osób (między innymi prawo do urlopu wypoczynkowego) określa treść zawartej umowy zlecenia. Umowa taka może przewidywać prawo zleceniobiorcy do urlopu wypoczynkowego, może też nie przewidywać. Jeżeli umowa gwarantuje prawo do urlopu, przysługuje on w wymiarze i na warunkach w niej ustalonych. Czytelnik powinien wystąpić do kierownika zakładu pracy o zawarcie z nim umowy o pracę w niepełnym wymiarze czasu pracy. Taka umowa zapewni mu — z jednej strony — uprawnienia przewidziane prawem pracy dla pracowników, z drugiej zaś — ze względu na niepełny wymiar czasu pracy — nie naruszy jego prawa do emerytury. Gdyby zaś kierownik zakładu nie uwzględnił wniosku o zmianę umowy, pozostaje jedynie możliwość wystąpienia do sądu pracy o ustalenie uprawnień Bronisława Śliwy, wynikających ze stosunku pracy. Pozytywne dla pana Śliwy rozstrzygnięcie sądu zależałoby oczywiście od uznania, że istniejąca umowa jest faktycznie umową o pracę, a nie na przykład umową o dzieło lub umową ajencyjną.

Fundusz alimentacyjny

Podobno uległy zmianie przepisy o funduszu alimentacyjnym? Mam nadzieję, że na lepsze, bo sama od lat jestem klientką ZUS. Otrzymuję nędzne grosze, a koszty utrzymania rosną zastraszająco. Czy coś się poprawiło? — pyta jedna z pracownic wydziału elektrycznego.

Jak poinformowano nas w ZUS — od lipca weszła w życie ustawa z 30 maja br. o zmianie ustawy o funduszu alimentacyjnym. Ustalono, że alimenty będą wypłacane z funduszu zawsze, jeśli zostały zasądzone przez sąd, a ich egzekucja jest bezskuteczna. Zrezygnowano więc z uzależnienia wypłaty świadczeń od sytuacji materialnej rodziny. A także — z kwotowego określania granicy wypłat świadczeń z ZUS. Obecnie kwoty z funduszu alimentacyjnego wypłacane są w wysokości bieżąco ustalanych alimentów, lecz nie więcej niż 25 procent przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w gospodarce uspołecznionej w roku poprzednim. Najwyższa wypłata z funduszu alimentacyjnego może więc obecnie wynosić 13 330 (25 procent od 53 090 zł).

Z radiowęzła

W kwietniu br. skontrolowano wykorzystanie urlopów w blisko 1300 zakładach zatrudniających ponad pół miliona osób. Wyniki — niepokoją. Okazało się, że są ludzie, którzy nie byli na urlopie od paru lat. Ogółem w skontrolowanych zakładach zaległe urlopy pracowników wynoszą ponad milion dni. Najwięcej nagromadziło się w roku ubiegłym — ponad 980 tys. dni. W latach 1986 i 1987 nie wykorzystano 120 tys. dni przeznaczonych na urlopy.

Najtrudniej urzeczywistnić swoje prawo do urlopu ludziom zatrudnionym w zakładach uspołecznionego rolnictwa. I nic dziwnego. Gdy rozpoczyna się lato, w polu jest najwięcej do zrobienia. W podobnej sytuacji znajdują się pracownicy przemysłu chemicznego, górnictwa, a także placówek naukowo-badawczych. Bardzo nieregularnie wypoczywają też kierownicy różnych szczebli i nadzór techniczny. Ci niby — niezastąpieni, bez których wszystko podobno się wali, dopóki... zdrowie nie odmówi im posłuszeństwa.

Ciężko wybrać się na urlop osobom zatrudnionym w działach finansowych, księgowym, magazynierom oraz pracownikom służby zdrowia. Terminy urlopu przesuwane są również z przyczyn osobistych, z powodu długotrwałych zwolnień lekarskich, wreszcie — ze względu na niedostatek kadr pracowniczych.

Sporo winy, gdy chodzi o zaległości urlopowe, leży po stronie pracodawców. Są zakłady, w których urlopów nie planuje się lub odkłada się tę sprawę na ostatnią chwilę. Takich zakładów, wśród skontrolowanych, ujawniono aż 195. Nie wszędzie przestrzega się zasady, że urlop powinien trwać co najmniej 10 dni. „Kawałkowanie" wypoczynku nie jest korzystne ani dla zakładu, ani dla pracownika.

Siedzieć po ludzku...

Niemal w tajemnicy trwały przez minione półrocze prace redakcyjne nowego regulaminu więziennego (tytuł oficjalny: regulamin wykonywania kary pozbawienia wolności). Ten dokument to przejaw nowego w polskim więziennictwie, na którego czele po raz pierwszy w PRL stoi cywil — sędzia **Romuald Soroko**, w przeszłości prezes Sądu Wojewódzkiego w Warszawie. Równocześnie jednak więziennictwo do zmiany dotychczasowego oblicza zobligowane zostało krytyką zewnętrzną, także ustaleniami postolika prawnego okrągłego stołu.

Regulamin obowiązywać będzie od 1 października br. jako dokument tymczasowy przez mniej więcej dwa lata, tj. do czasu uchwalenia przez Sejm nowej, całościowej kodyfikacji prawa karnego. W tej nowej kodyfikacji uwzględnione zostaną normy prawa międzynarodowego, przyjęte przez Polskę już ponad trzydzieści (!) lat temu.

W przeszłości nie tak odległej sytuacja w polskich więzieniach wyglądała źle. W połowie lat osiemdziesiątych „pod kluczem" znajdowało się ok. 120 tysięcy osób, do czego więziennictwo materialnie nie było przygotowane. Dziś liczba ta zmniejszyła się o połowę (ok. 60 tysięcy zatrzymanych, aresztowanych i skazanych), co wpłynęło oczywiście korzystnie na warunki odbywania kary.

Regulamin dotyczy spraw generalnych, ale i całkiem prozaicznych. O dotychczasowych warunkach niech zaświadcza nowy przepis, iż obecnie obligatoryjnie w celach sanitariaty muszą być wydzielone (ogrodzone), więc cela dopiero teraz zacznie przypominać izbę mieszkalną. Ten konieczny wymóg został zapisany, choć wiadomo, że w części zakładów karnych na razie z powodów lokalowych nie będzie realizowany, gdyż baza więzienna jest w rozsypce. Nie ukrywał tego już w pierwszych dniach swego urzędowania dyrektor Soroko, dając przykład klasztoru, zamienionego w czasach trudnych na więzienie.

Powszechnie wiadomo, że więźniowi przysługuje prawo do spaceru na świeżym powietrzu. Dotychczas prawo to wykonywane było nader dowolnie. W nowym regulaminie czas spaceru wydłużony został do jednej godziny dziennie. Nie wolno personelowi więzienia utrudniać skazanym pisania skarg w trybie ustalonym przez regulamin. Innego kształtu nabierze też prawo do leczenia, albowiem więzienna służba zdrowia podlegać będzie kontroli resortu zdrowia na tych samych zasadach co wszystkie inne placówki medyczne.

Poza mury więzienne dostaną się również ludzie wolni, działający w organizacjach typu „patronackiego", ale dokładnie jakie — nie do końca wiadomo, bo o ich przydatności jednostkowo decydować będą sądy, w których takie organizacje mają obowiązek rejestrowania.

Regulamin wykonywania kary pozbawienia wolności jest aktem porządkowym Centralnego Zarządu Zakładów Karnych. Jako taki nie może być sprzeczny z ustawą, czyli nadal obowiązującym kodeksem karnym wykonawczym z roku 1969, a ten — jak już wiadomo — obowiązywać będzie jeszcze dwa lata.

Wedle dotychczas obowiązujących przepisów ustawy, na więźniach spoczywa obowiązek pracy, bardzo źle opłacanej i w gruncie rzeczy dość przypadkowej, dowolnie wyznaczanej przez naczelnika zakładu. Więźniom nie przysługuje z tytułu tej pracy prawo do rent i emerytur, wynagrodzenie na zasadach ogólnych, także nader dowolnie interpretowane są przepisy bhp.

Kontrowersje wzbudza utrzymanie kar dodatkowych, wewnętrznych, wynikających bezpośrednio z regulaminów, jak np. izolacja (czyli osadzenie w pojedynczej celi, na okres do 6 miesięcy!) i będące tego pochodną zakazy widzeń z rodziną, korespondencji, paczek, korzystania z kantyny. Pozostają w mocy przepisy o charakterze dyscyplinarnym (apele, meldowanie się, raporty „wojskowo-podobne", cenzura osobistych notatek więźnia, bez konieczności uzasadnienia). Zatem sfera intymności więźnia jak była, tak pozostanie naruszana i w świetle tych zapisów trudno mówić o podmiotowych prawach skazanego.

Więzień pozostaje przez cały czas odbywania kary w dyspozycji służb zakładu karnego. Naczelnik decyduje o sprawach tak błahych, , jak zarost czy fryzura więźnia i naczelnik (przez wychowawców, występujących w jego imieniu) wyznacza więźniowi miejsce (łóżko) odbywania kary. Słowem — obowiązują rozliczne zakazy w sprawach kompletnie nieistotnych z punktu widzenia resocjalizacji, których egzekwowanie może utrudniać życie odbywającym karę, czyniąc ją w konsekwencji udręką.

Uchwalony regulamin jest szóstą czy nawet siódmą z przygotowywanych wersji. Zmiany miały mieć charakter humanitarny i za taki należy uznać otwarcie cel dla kobiet i młodocianych, swobodny dostęp do ciepłej wody i prawo do korzystania przez kobiety z własnej bielizny czy zniesienie ograniczeń w prenumeracie prasy. Równocześnie jednak utrzymana zostanie wyjątkowo okrutna kara regulaminowa — tzw. „twardego łoża", wymyślona przez pomysłodawców kkw.

Systematycznie ma rosnąć liczba przepustek (do 5 dni i 10 godzin dziennie) bez nadzoru itp.

Nie załatwiono sprawy specjalistycznej opieki lekarskiej nad więźniami, co o tyle jest istotne, że ok. 30 proc. siedzących w więzieniach charakteryzuje się (z różnych przyczyn) odchyleniami od normy psychicznej. Nie określone pozostaje także dodatkowe uprawnienie dla naczelnika do „zawieszania praw więźnia". Taki wyjątek od reguły rychło może stać się zasadą, a wówczas najlepszy nawet regulamin stanie się jeszcze jednym, nic nie znaczącym zapisem historycznym. Bowiem właśnie o prawa osób skazanych chodzi, a nie o to, że regulamin namawia personel więzienny, aby odejść od malowania pomieszczeń na szaro, a preferować barwy pastelowe.

Nadto od jesieni personel ma się zwracać do więźniów per „obywatelu", a nie „wy". I to powinno na razie takiemu obywatelowi wystarczyć, zwłaszcza że — także w zgodzie z literą regulaminu — obywatele więźniowie mogą spać pod kolorowymi kocami. Ale to tylko nocą. W dzień łóżko obywatelom więźniom nie przysługuje.

JAN TARKOWSKI

OGŁOSZENIA DROBNE

Atrakcyjną działkę budowlaną, 1080 m², Piwniczna Zdrój, blisko rzeki Poprad — sprzedam. Tel. Warszawa 19-73-13.

Zakopane! superkomfortowe mieszkanie własnościowe, 3-pokojowe zamienię na dom w Zakopanem lub bliskiej okolicy. Tel: 66-407, w godz. 20-21. Warunki do uzgodnienia. D-52284

Do sprzedania mercedes „Beczka" syrena „Bosto", Volkswagen Golf, przyczepa zachodnia campingowa, przyczepa zachodnia bagażowa. Oglądać można Zakopane ul. Tetmajera obok Komisu. D-52285

Przyjmę w okresie jesienno-zimowym pracownika fizycznego. Możliwość zakwaterowania z wyżywieniem. Mile widziany urodzony w 1966 lub 1970 roku w miesiącu IX lub X. Zakopane, Tetmajera 17. D-52286

Polonia-Cudzoziemcy fotooferty matrymonialne, Kraków 39, skrytka 23 g-42654

Komis — Zakopane Tetmajera 17 zakupi i poszukuje dostawców towarów pochodzenia zagranicznego: sprzętu narciarskiego, technicznego, mebli, samochodów osobowych. Czekamy na oferty. D-52275

PRZETARGI

Spółdzielnia Usług Mleczarskich — Zakład Transportu Mleczarskiego w Nowym Sączu, ul. Rybacka 1 sprzeda w drodze przetargu publicznego:
— samochód ciężarowy marki Star 28 furgon, nr rej. NSA 551F, nr silnika 75457, nr podwozia 90855, rok produkcji 1980, stopień zużycia 80%, cena wywoławcza 2.000.000 zł.
Przetarg odbędzie się w dniu 1989-10-12 o godz. 10 w ZTM w Nowym Sączu, ul. Rybacka 1.
W przypadku niedojścia do skutku przetargu I — przetarg II odbędzie się w tym samym dniu i miejscu o godz. 11.
Pojazd można oglądać w godz. 8 — 14 w bazie ZTM w Nowym Sączu, ul. Rybacka 3.
Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej, najpóźniej w przeddzień przetargu w kasie zakładu.
Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyn, względnie dowolnego wyboru oferenta. K-9503

SZKÓŁKA KRZEWÓW OWOCOWYCH
ANDRZEJ GUZIK
BAŁAŻÓWKA 26
34-601 LIMANOWA

poleca kwalifikowany materiał krzewów owocowych

— ARONIA
— PORZECZKA CZARNA
— LESZCZYNA WIELKOOWOCOWA
— AGREST
— PORZECZKOAGREST

Sprzedaż od października — wysyłkowej sprzedaży szkółka nie prowadzi.

POZNAJ OFERTĘ BANKU PKO SA!

PEKAO działa od 1929 r.

Dla podmiotów gospodarczych:
— bankowa obsługa transakcji handlu zagranicznego
— kredyty obrotowe i inwestycyjne w złotych —
- krótkoterminowe
- średnioterminowe
- długoterminowe

— kredyty dewizowe, na rozwój eksportu towarów lub usług do II obszaru płatniczego
— obsługa rachunków w walutach wymienialnych i w złotych.

Usługi dla podmiotów gospodarczych świadczą: Oddziały Banku PKO SA
Podajemy adres:
Bank Polska Kasa Opieki SA Oddział w Nowym Targu
al. 1000-lecia 44, 34-400 Nowy Targ.

UWAGA!
Zakopane i Okolice
KURSY

— **języka angielskiego**
— **języka niemieckiego**
— **języka francuskiego**
— **języka szwedzkiego**
— **palaczy c.o.**
— **spawania elektrycznego i gazowego**
— **dozoru i obsługi urządzeń energetycznych (SEP)**
— **kierowników zakładów gastronomicznych**
— **kelner — bufetowy**
— **pedagogiczny dla mistrzów i instruktorów praktycznej nauki zawodu**
— **kosmetyczny**
— **manicure — pedicure**
— **kosztorysowania**
— **obsługa autoklawów, butli tlenowych**
— **obsługi i konserwacji gaśnic p. poż.**
— **kwalifikacyjne na tytuł czeladnika i mistrza we wszystkich zawodach mechanicznych, budowlanych i elektrycznych**
— **bhp**
oraz inne kursy zlecone przez zakłady pracy.

Organizuje i zapisy przyjmuje Rejonowy Uniwersytet Robotniczy ZSMP w Zakopanem, ul. Kościuszki 11, tel. 38-95 codziennie z wyjątkiem sobót w godz. 11.00 — 14.00 K-9361

Przedsiębiorstwo Produkcji i Montażu Urządzeń Elektrycznych Budownictwa „Elektromontaż" nr 2 w Krakowie

zatrudni

na terenie miejscowości: Sucha Beskidzka, Nowy Targ, Białka Tatrzańska i Zakopane — elektromonterów i elektromechaników do prac przy montażu urządzeń elektroenergetycznych.
Wynagrodzenie na podstawie Zakładowego Systemu Wynagrodzeń.
Przedsiębiorstwo posiada miejsca hotelowe, dobre warunki socjalne i możliwość wypoczynku we własnym domu wczasowym.
Chętni winni zgłaszać się do działu Kadr i Szkolenia w Krakowie Nowej Hucie ul. Łowińskiego 7, pokój 131.
Dojazd tramwajem nr 22 w kierunku Wzgórz Krzesławickich — drugi przystanek za Centrum Administracyjnym Huty im. Lenina. K-9432

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka, (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, telefony: 238-36, 238-90, teleks: 0322748, Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wewn. 161, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.
Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III Kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał. M-9

PIĄTEK 22 IX

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Zagrać na piszczałce" — film fab.
10.45 „Domator"
16.20 Program dnia — DT
16.25 Dla młodych widzów
16.50 „Okienko Pankracego"
17.15 Teleexpress
17.30 „Szkoła mistrzów"
17.50 „Polska walcząca 1939 — 1945" (3)
18.50 „10 minut"
19.00 Dobranoc „Kret"
19.10 „Monitor rządowy"
19.30 Dziennik
20.05 **„W kręgu zła" — film fabularny prod. franc.**
22.20 Kroniki PAT — tak było...
22.35 „Czas"
23.05 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Wzrockowa lista przebojów"
18.00 Kronika
18.30 „Z czego śmieją się sąsiedzi"
19.00 Spotkanie z Liv Ullmann
19.30 „Dookoła świata"
20.00 VII. Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny
20.50 „Brawo dla Włodzimierza Nahornego"
21.30 Panorama dnia
21.45 „Ja, który byłem na wirażu" — reportaż
22.20 **Filmy Paula Coxa — „Samotne serca"**
23.55 Komentarz dnia

SOBOTA 23 IX

PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 „ Tydzień na działce"
8.20 „Na zdrowie"
9.00 „Drops"
10.30 DT — wiadomości
10.40 „Stare, nowe, najnowsze"
11.25 „Iskierki na iskrze"
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.25 „Flesz"
12.50 Telewizyjny Teatr Prozy: Jarosław Iwaszkiewicz „Sława i chwała"
14.15 „Gdzie są taśmy z tamtych lat"
14.55 **Komedie, komedie, komedie: „Wiosna, panie sierżancie"**
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 „Polityka, politycy" — Jacques Chirac
17.15 Teleexpress
17.30 „Zabawy w dorosłych ciąg dalszy" — film dok.
18.30 „Butik"
19.00 „Przygody Misia Colargola"
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt"
19.30 Dziennik
20.05 **„Wielka nadzieja białych" dramat społ.-obycz. prod. USA**
21.45 Telewizyjny przegląd sportowy
22.05 „Tydzień w polityce"
22.15 Bałtycki Festiwal Piosenki — Karlshamn '89
23.25 Telegazeta
23.30 **Kino sensacji: „Omen" — horror prod. USA**
1.15 Zakończenie programu

PROGRAM II

13.45 „Konkurs 5 milionów"
14.30 „Bariery"
14.55 Program dnia
15.00 „Ordy" — „Stephenson — Lokomotywa parowa"
15.25 „Spektrum"
15.40 „Antarktyczne lato"
16.05 „Meandry architektury"
16.25 „Trzy ołtarze" — cz. 3
17.00 Kraków na antenie „Dwójki"
18.00 Kronika
18.30 „Szansa"
19.30 Kraków na antenie „Dwójki"
21.30 Panorama dnia
21.45 **„Chateauvallon" (20)**
22.40 Kraków na antenie „Dwójki"
23.40 „Komentarz dnia"

NIEDZIELA 24 IX

PROGRAM I

7.20 „Notowania"
7.45 „Po gospodarsku"
8.15 „Tydzień"
8.55 Program dnia
9.00 „Teleranek"
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Ludy Ziemi" (10 — ost.)
11.35 „Kraj za miastem"
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 Magazyn „Morze"
13.10 „Agromarket"
13.40 Teatr dla dzieci: „Słonecznik"
14.30 „Pieprz i wanilia
15.15 „Antena"
15.35 „Panna dziedziczka" (20)
17.10 Teleexpress
17.25 Telewizyjny Teatr Rozmaitości — Bruno Winawer — „Po prostu truteń"
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.05 **„Klan" (4)**
21.05 „7 dni — świat"
21.35 Sportowa niedziela
21.55 „W sztucznym świecie" — reportaż
22.15 **„Love me tender" — piosenki Elvisa Presley'a**
22.45 Telegazeta

PROGRAM II

8.45 „Przegląd tygodnia" (dla niesłyszących)
9.20 „Klan" (4) — serial
10.20 „Krótkofalowcy"
10.50 Studio sport
11.20 „Jutro poniedziałek"
12.00 Studio sport
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa

na ekranie TV

12.30 **Kino familijne: „Niebezpieczna zatoka" — serial**
13.25 „100 pytań do..."
14.05 Studio sport
14.20 „Polacy"
15.10 Podróże w czasie i przestrzeni „Badacze nieznanych kultur" (3)
16.00 „Być tutaj" — gawęda prof. Wiktora Zina
16.25 Formuła I
16.40 „Zbliżenia, czyli to i owo o filmie"
17.10 Formuła I
17.30 „Bliżej świata"
18.55 Formuła I
19.05 „Wywiady Ireny Dziedzic"
19.30 Galeria „Dwójki" — muzeum w Bochum
20.00 Studio sport
21.00 „Błękitna maska na balu w Savoyu"
21.30 Panorama dnia
21.45 **„Wojna i pamięć" (4)**
23.00 „Warszawska Jesień"

PONIEDZIAŁEK 25 IX

PROGRAM I

16.20 Program dnia i DT
16.25 „Luz"
17.15 Teleexpress
17.30 „Echa stadionów"
18.10 „Z wiatrem i pod wiatr"
18.30 „Laboratorium"
18.50 „10 minut"
19.00 „Ja ci jeszcze pokażę"
19.10 „Gorąca linia"
19.30 Dziennik
20.05 **Teatr telewizji — Maria Nurowska „Małżeństwo Marii Kowalskiej"**
21.40 Kroniki PAT — Tak było...
21.55 Mistrzostwa Świata w boksie
22.10 „Przez ogień i wodę" (1) — film dok.
22.40 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki"
17.45 „Ojczyzna-polszczyzna"
18.00 Kronika
18.30 „Czarno na białym"
19.00 „Young Power" — recital zespołu
19.30 „Życie muzyczne" — „Warszawska Jesień '89"
20.00 „Auto Moto Fan Klub"
20.30 „Spotkanie z Kalinką" — teleturniej
20.45 „Aktualności kulturalne"
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Henry Miller" — film dok.
22.40 Komentarz dnia

WTOREK 26 IX

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Oziębłość" (2 — ost.) — film prod. ang.
10.25 „Domator"
16.00 Program dnia i DT
16.05 „Punkty widzenia"
16.25 Dla dzieci: „Tik-Tak"
16.50 Kino Tik-Taka
17.15 Teleexpress
17.30 „Następny proszę" — serial
18.20 „Klinika zdrowego człowieka"
18.50 „10 minut"
19.00 Dobranoc
19.10 „Stop"
19.30 Dziennik
20.05 **„Oziębłość" (cz.2 — ost.) dramat obycz. prod. ang.**
21.00 Kroniki PAT — Tak było...
21.15 Studio sport
21.30 „Przez ogień i wodę" (2) — film dok.
22.20 „Wokół wielkiej sceny" — magazyn operowy
23.10 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Klub ludzi z przeszłością"
18.00 Kronika
18.30 „Komedia, to jego specjalność" — program o komediach Stanisława Barei
19.30 „Blisko nieba"
20.00 „Non stop kolor"
21.00 „W kręgu sztuki"
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Solidarność
22.25 **„Nadzór" — dramat psych. prod. pol.**
0.20 Komentarz dnia

ŚRODA 27 IX

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Babcia chyba oszalała" — komedia obycz. prod. CSRS
10.40 „Domator"
16.15 Program dnia i DT
16.20 Losowanie Express i Super Lotka
16.25 Dla młodych widzów: „Jim Henson przedstawia..."
17.15 Teleexpress
17.30 „Spojrzenia"
18.00 „Telewizyjny Informator Wydawniczy"
18.20 „Dawniej niż wczoraj"
18.50 „10 minut"
19.00 Dobranoc
19.10 Program publicystyczny
19.30 Dziennik
20.10 **Studio sport: Legia Warszawa — FC Barcelona**
22.00 Kroniki PAT — Tak było...
22.15 „Raport"
22.35 „Przez ogień i wodę" (3 — ost.) — film dok.
23.30 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Z życia clowna" — reportaż
18.00 Kronika
18.30 Piosenki Edith Piaff — śpiewa Irena Pająkowa
19.00 „Konkurs video-clipów"
19.30 „Zwierzęta wokół nas"
20.00 „Szopy z piasku" — film fab. prod. CSRS
21.00 „Ojciec" — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 **„W labiryncie" (39)**
22.15 **Studio sport — Mecz Juventus Turyn — Górnik Z.**
23.50 Komentarz dnia

CZWARTEK 28 IX

PROGRAM I

8.35 „Domator"
8.50 „Domowe przedszkole"
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami"
10.10 „Domator"
16.00 Program dnia i DT
16.05 „Polskie zdroje"
16.25 „Kwant"
17.15 Teleexpress
17.30 „Żołnierze majora Hubala" — reportaż
17.55 „Sonda"
18.25 Program publicystyczny
18.50 „10 minut"
19.00 Dobranoc
19.10 „Teraz"
19.30 Dziennik
20.05 **„Policjanci z Miami" — serial prod. USA**
20.50 Kroniki PAT — Tak było...
21.05 Mistrzostwa Świata w boksie
21.20 „Pegaz"
22.10 „Czas" — magazyn publ.
22.40 „Zawsze po 21-szej"
23.20 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Skarby kultury polskiej"
18.00 Kronika
18.30 Program publicystyczny
19.00 Magazyn „102"
19.30 „Świat roślin" (13 — ost.)
20.00 Studio sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 **Kino studyjne „Dwójki" — „Norma Rae" — dramat społ. prod. USA**
23.40 Komentarz dnia

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 16)

8 sierpnia 1897

Julcia, nasza wnuczka, córka Femci, skończyła szesnaście lat. Urodziwa z niej panna, podobna do matki, jakby skórę z niej zdarła. Poza tym zgrabna, wiotka, porusza się z gracją, wesoła, roześmiana, bardziej radosna niż Femcia. Lubi się stroić, ciągle jakieś przeróbki, nowe fatałaszki, a nade wszystko gustuje w kapeluszach, tak jak ja ongiś. Femcia ma jeden kapelusz od lat, który nakłada w niedzielę do kościoła i tylko co jakiś czas go czyści. Za to Dominika ma kilka ładnych kapeluszy, pilśnowych, filcowych, słomkowych ze wstążkami, płóciennych, jedwabnych z koronkami i aksamitnych na stelażach. Julcia pożycza kapelusze od Dominiki i paraduje w nich po mieście.

Julcia zżyła się z Dominiką, która po wyjeździe Praksedy nie miała towarzystwa. Zagadkowe wyjścia jakoś urwały się na rok, potem znowu zaczęła się wymykać ukradkiem, niekiedy szła razem z Julką. Któregoś dnia wnuczka namawiała ją do pójścia na ciastko z kremem do cukierni pana Józefa Dzięciołowskiego przy ulicy Jagiellońskiej. Też ma pomysły. Zgromiłam Dominikę wzrokiem, bo jak to wygląda, żeby porządne panny szły same do cukierni? Przecież Kaziu może im towarzyszyć. Femcia daje Julci parę centów na drobne przyjemności i dziewczynie przewraca się w głowie. Innym razem ubrała się świątecznie, rozplotła warkocze, zakręciła włosy w długie loki i poszła do nowo otwartego zakładu fotograficznego „Janina", mieszczącego się w realności Kwolewskich, obecnie pani Tarasińskiej. Za sześć zdjęć zapłaciła reńskiego i 50 centów. Zaraz za jej przykładem udała się do fotografa Dominika z Kaziem. Patrząc na zdjęcia nabrałam ochoty, aby utrwalić się na papierze z całą rodziną. Joachim śmiał się, że klisza pęknie w aparacie, ale pochwalił mój pomysł. Kiedyś musimy się wybrać. Może jak przyjedzie Antoś, Ludomir i wróci Prakseda? Firmę fotograficzną „Janina" prowadzi pan Alfred Wierusz Silkiewicz i trzeba go popierać, gdyż robi mu konkurencję Żyd Friedmann, zniżając ceny za wykonywane przez siebie zdjęcia. A ludzie — wiadomo: pociąga ich cena nie lepsze wykonawstwo.

Femcia zastanawia się, czy nie oddać Julci na naukę do pani Marii Nawrockiej, która ma pracownię sukien i żakietów przy ulicy Lwowskiej. Wnuczka woli modniarstwo, tylko u nas modniarkami są Żydówki. Wszyscy zastanawiamy się co byłoby dla Julci najodpowiedniejsze i dziś nareszcie wszelkie pomysły przebił Joachim. Zaproponował, aby Julcia pomagała w naszym sklepie i w przyszłości go objęła. Skoro nie chciało żadne z dzieci, to niech przypadnie wnuczce. Dziewczyna przyjęła to ochoczo, z wyraźnym zadowoleniem, lubi kontakty z ludźmi, jest żywa, wniesie świeży powiew do sklepu, cichego i smutnego, odkąd nastał w nim posępny pan Ksawery. Julcia zaczyna pracę za ladą już od poniedziałku.

Dwa dni później

Trochę się denerwuję, bo Maryjka jest przy nadziei i każdego dnia oczekuje dzieciątka. Chodzę do niej codziennie, szyjemy koszulki i kaftaniki, obrębiamy pieluszki. Miło u nich, ładnie, widać dobrobyt.

Zanim wyszłam od córki, wrócił zięć i powiedział o nagonce w mieście na pana Józefa Gutowskiego, redaktora „Mieszczanina". Napadł na niego i pobił niejaki Maciołek, najpewniej z namowy jakiejś ważnej persony w mieście. W „Mieszczaninie" bowiem krytykuje się ostro burmistrza, Radę Miejską, pociągnięcia budowniczego miejskiego i architekta, Jana Perosia. Haniebny to czyn i godny pomsty. Cichaczem ludzie szepczą o rowerze jaki otrzymał Maciołek od pana Perosia. Za co? Przykro o tym pomyśleć. Swoją drogą, przed okiem ludzkim niczego nie da się ukryć. Pan Gutowski doznaje sporo nieżyczliwości z powodu swojej działalności publicystycznej. Wytyka błędy ludzkie, nieraz atakuje zbyt gwałtownie, to fakt, lecz kto inny zapuka do sumień naszych władz w obronie zwykłych, szarych, zastraszonych ludzi? I taką niegodziwą otrzymuje zapłatę. W tym roku oprócz „Mieszczanina" opublikował jeszcze kilka numerów „Sądeczanina", na których jako wydawca widnieje pani Tekla Gutowska. Pan Gutowski choruje na oczy i nie wiadomo jaki los spotka pisma, gdy stan jego wzroku nie ulegnie poprawie. Przebąkują o odkupieniu praw wydawniczych „Mieszczanina" przez Zygmunta Mayera, nauczyciela i społecznika.

18 sierpnia 1897 r.

Cieszymy się ogromnie z powiększenia naszej rodziny. Wczoraj wieczorem Maryjka powiła szczęśliwie córeczkę. Dziecina jest śliczna, drobniutka i cichutka. Mam ją trzymać do chrztu z Nyftonem. Córka z zięciem wybrali już imię: Marianna.

22 sierpnia 1897 r.

Nareszcie nadszedł list z Wiednia. Waleria z Ameryki zdążyła napisać już dwa razy i przysłać dolary, a od córki nie można się doczekać znaku życia. Prakseda w powściągliwych słowach zawiadamiała nas o zmianie mieszkania i obietnicy przyjęcia do rewii. Od wyjazdu pani Luizy przeprowadzała się czterokrotnie i dopiero teraz rzekomo trafiła na wygodne lokum. Kto wie, czy w takiej sytuacji dotarły do niej nasze listy? Zapomniała o pomyślnym biegu wszystkich spraw i swym zadowoleniu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Krytycy i dyletanci

Kanadyjski pisarz Grant Kidney miał porachunki z redakcją literacką stołecznego radia i postanowił je uregulować w niecodzienny sposób. Przesłał radiowym krytykom kilka opowiadań Faulknera, Londona i Kafki, które podpisał własnym nazwiskiem. Po kilku tygodniach otrzymał odpowiedź, w której redakcja wyjaśniała, że nie skorzysta z nadesłanych tekstów z powodu *niskiego poziomu ich języka i dyletanckiego podejścia autora do problematyki*. Kidney opublikował wyjaśnienia literackich ekspertów wraz z adnotacją o rzeczywistych autorach dzieł. Nie trzeba dodawać, że o tekstach podpisanych przez Faulknera czy Londona ci sami krytycy wygłosili nieskończoną ilość pochwalnych peanów.

Mozaika z pszczół

W japońskim mieście Nara znajduje się niewielka świątynia, która przyciąga turystów niecodziennymi malowidłami. Wykonano je techniką mozaikową, ale nie z kamieni, lecz z pszczelich skrzydeł. Nie wiadomo, co bardziej podziwiać: inwencję artystów, ich cierpliwość czy odwagę.

Miniaturka

Firma Toshiba skonstruowała najmniejszy odbiornik radiowy świata. Ma on wymiary 8,89 na 5,33 na 0,12 milimetrów. Schować go, by potem znaleźć, można już chyba tylko w uchu.

Sposób na fałszerzy

Władze Peru wezwały obywateli do prowadzenia operacji walutowych wyłącznie w bankach państwowych. Nie wynika to bynajmniej z jakiejś walki z sektorem prywatnym, ale z przeświadczenia, że jest to jedyny sposób uchronienia się przed fałszywymi pieniędzmi. W ostatnich miesiącach Peru stało się terenem działania międzynarodowej organizacji fałszerzy, którzy dosłownie zalali czarny rynek podrabianymi dolarami. Wydaje się, że ostrzeżenia przed fałszerzami powinny być kierowane nie tylko do Peruwiańczyków, wszak dzisiejszy świat jest tak powiązany i tak mały.

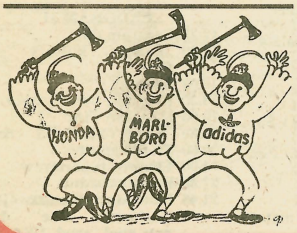

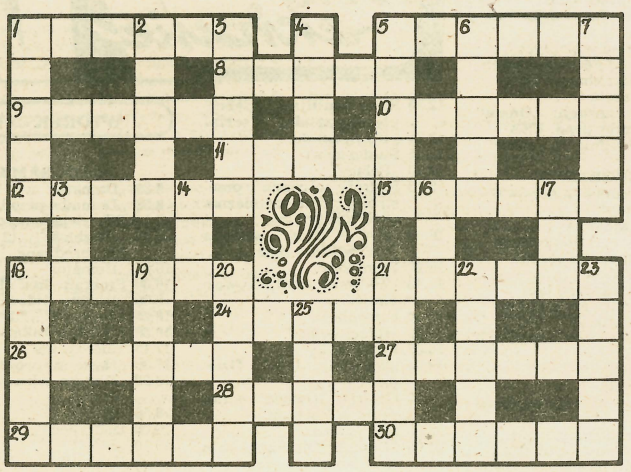

KRZYŻÓWKA NR 38

POZIOMO: 1) taras, 5) punkt widzenia, 8) serweta, 9) odmiana węgla brunatnego, ksylit, 10) odosobniony szczyt górski, 11) biokatalizator, 12) okres pobytu na wczasach, 15) zobojętnienie, nieczułość, 18) wybieg, 21) laik, dyletant, 24) krasa, 26) urzędnik komory celnej, 27) część terenu, 28) wychowanek szkoły wojskowej, 29) zwolennik teizmu, 30) kupalnik górski,

PIONOWO: 1) zespół zawodowych tancerzy, 2) przepis, prawidło, 3) kajet, 4) 15° C poniżej zera, 5) dychawica, 6) coś bardzo cennego i rzadkiego, 7) szlak, 13) część nogi, 14) domki pszczół, 16) warzywo, 17) dopływ dolnej Odry, 18) gość, 19) tkanina wełniana, 20) miasto we Włoszech (Toskania) 21) do butów, 22) nawałnica, huragan, 23) zwierzątko futerkowe, 25) wojsko chana.

Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 29 września br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 36

POZIOMO: 3) przekaz, 9) Bantu, 10) amper, 11) sztucer, 12) klacz, 13) Aluta, 14) torbacz, 18) szabas, 21) zabawa, 24) ideał, 25) stojak, 28) obrona, 32) Marzena, 35) kiełb, 36) stela, 37) oferent, 38) rekin, 39) igapo, 40) amantka.

PIONOWO: 1) abakus, 2) antaba, 3) puszta, 4) Zetor, 5) kucja, 6) zaraza, 7) spluwa, 8) armata, 15) osika, 16) Biecz, 17) człon, 19) zet, 20) bej, 22) bór, 23) won, 25) sokora, 26) Oleńka, 27) ambona, 29) Bastia, 30) operat, 31) amator, 33) rzeka, 34) efekt.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 36, w wyniku losowania nagrody otrzymają: **Michał Bazielich** ze Starego Sącza i **Jerzy Kryda** z Krakowa

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

HOROSKOP

BARAN: wydarzenia nabiorą teraz tempa, będziesz musiał przyspieszyć działanie — życzliwe myśli kogoś bliskiego krążą wokół ciebie.

BYK: nie uda ci się w tej chwili dominować nad otoczeniem, raczej będziesz musiał zgodzić się na ustępstwa — straty szybko odrobisz, nie martw się nimi.

BLIŹNIĘTA: bądź pewny swoich racji, przekonuj do nich ludzi, działaj zgodnie z planem — pójdzie dużo łatwiej niż myślisz, to będzie także dobra lekcja na przyszłość.

RAK: nie zdążysz wszystkiego załatwić i z tego powodu przeżyjesz rozczarowanie — szybko poprawisz sobie nastrój, bo ktoś bliski sprawi ci miłą niespodziankę.

LEW: żadnych kłótni, sprawią ci wiele kłopotów i popsują układy, zachowaj więc spokój i konstruktywnie rozwiązuj konflikty — nie bądź zbyt ambitny.

PANNA: jeśli będziesz się chciał wyróżnić, nie rób tego za wszelką cenę, bo grozi ci kompromitacja — nie poddawaj się sentymentom, może to tylko popsuć ci humor.

WAGA: pogodne usposobienie pomoże ci wpłynąć na najbliższych, szybko się z nimi porozumiesz — nowe znajomości mogą być dla ciebie nieco kłopotliwe, bądź ostrożny.

SKORPION: zajmij się przede wszystkim swoimi sprawami, problemy innych niech cię na razie nie interesują — jeśli dostosujesz swoje wymagania do sytuacji, możesz sporo zyskać.

STRZELEC: teraz będzie ci sprzyjać szczęście, zdecyduj się więc na najbardziej ryzykowne działania — chwila zadumy nad życiem może pomóc podjąć trudne decyzje.

KOZIOROŻEC: odsuń na dalszy plan uczucia, kieruj się rozumem, choć może być to trudne, doprowadzi cię do wytyczonego celu — ostrożność nie leży w twojej naturze, a będzie ci teraz potrzebna.

WODNIK: nie będziesz narzekał na nudę i monotonię, możesz nawet szybkością wydarzeń być nieco zmęczony — nie wycofuj się zbyt wcześnie, bądź dobrej myśli.

RYBY: niechęć do kompromisów może być źródłem konfliktów, które będą dla ciebie bardzo męczące — zamknięcie w sobie sprzyjać będzie poczuciu osamotnienia, nie daj wpędzić się w taki nastrój.

GABRIELA R. DANIELEWICZ (120)

Pamiętnik sądeczanki

1 sierpnia 1897 r.

Wczoraj byliśmy na pogrzebie pana Hermana Teyrowskyego. Przeżył osiemdziesiąt dwa lata. Z żalem żegnano wielkiego miłośnika muzyki i śpiewu. Było dużo gimnazjalistów, wojskowych, nad grobem śpiewał chór i przemawiał ojciec jezuita Załęski. Poszliśmy na pogrzeb emerytowanego kapitana przez wzgląd na sympatię, jaką okazał Praksedzi. Docenił jej głos i namawiał do pozostania w Nowym Sączu. Czemu go nie posłuchała?

Parę dni później

Wracałam pod wieczór do naszego sklepu. Trochę brakuje mi w nim Hipolita, wnosił humor i żywość. No cóż, po ożenku wyjechali do Suchej, znaleźli tam dogodniejsze warunki. Był znowu kłopot z obsadzeniem kogoś na miejscu Narskiego i pani Onufrowa uruchomiła całą swoją rodzinę. Subiektem jest pan Ksawery, starszy, chudziutki wymoczek w binoklach, niezmiennie ubrany w czamarę, wygrzebany z jakiegoś tarnowskiego lamusa. Pan Ksawery przeżył podobno w młodości dramat sercowy i odtąd zamknął się w sobie. Wynajął stancję po Hipolicie i po powrocie ze sklepu nie opuszcza domu. Joachim poszedł kiedyś do niego i zastał go pogrążonego w wertowaniu starych dokumentów. Cały pokój tonie w papierzyskach, wszędzie jakieś plany i mapy. Pan Ksawery obsługuje klientów bez zarzutu, sprawnie, szybko i grzecznie, ale nie wdaje się w żadne rozmowy i odpowiada ściśle na pytania. Uprzejmie acz stanowczo podziękował za zaproszenie na niedzielny obiad, nigdzie nie bywa, nawet u pp. Onufrych. Dzieci śmieją się z niego i naśladują śmieszne wymachiwanie laską. Dziwoląg, cudak — stwierdziliśmy wszyscy i daliśmy mu spokój. Teraz mąż nie może nawet pogawędzić z subiektem, bo Ksawery milczy jak zaklęty. Widocznie mu odpowiada życie odludka. Dzisiaj gdy przyszłam do sklepu, to ukłonił się tylko i nic. Musiałam go za język ciągnąć, dokąd poszedł mąż. Gdy wracałam, na rogu Lwowskiej podszedł do mnie postawny mężczyzna koło trzydziestki w mundurze kolejarskim i zapytał o dom Uryżyny. Pokazałam mu skwapliwie i rozpoczęliśmy rozmowę. Szedł odwiedzić wciąż chorującego Floriana. Pracowali razem w warsztatach w tapicerni i mój rozmówca, zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością kolegi, chciał go odwiedzić. Idąc naszą ulicą powiedzieliśmy sobie dużo. Kolejarz zna Walka i wyrażał się o nim dobrze, co mi schlebiło.

Przed domem Apolonii zgiął się w ukłonie i pocałował mnie w rękę.

— Bielat jestem — przedstawił się wyraźnie.

Gdy syn wrócił, opowiedziałam mu o tym spotkaniu i Walek wybałuszył oczy.

— To Bielat odwiedził Floriana? — zdziwił się.

— Co w tym niezwykłego? Ludzka powinność, dobry uczynek.

— Tak, tak — potwierdził syn — lecz Bielat ma mało czasu, jest ważną figurą. Tym bardziej cenię go za to, że pofatygował się.

— Ten kolejarz to Bielat?

Objało mi się o uszy to nazwisko w opowiadaniach Walka, ale nie skojarzyłam go dziś z spotkanym mężczyzną. Franciszek Bielat odgrywa ważną rolę wśród sądeckich kolejarzy. W tapicerni, gdzie pracuje, cieszy się szacunkiem. W warsztatach nowosądeckich jest już od pięciu lat, przedtem przebywał w Krakowie, tam wyuczył się fachu. Od początku istnienia partii należy do jej szeregów. Kierował pewien czas „Siłą" i działa w obronie praw kolejarzy. Nazwisko jego jest znane na całej kolei. Walek widzi w nim wzór bojownika o lepszy byt i wolność.

Wracając do Floriana — to szczerze mi go żal. Nie skutkuje kozie mleko, żółtka z cukrem ani psi smalec. Nawet mój osławiony proszek eukaliptusowy nie przyniósł poprawy. Biedny młodzian nie może się już podnieść z łóżka. Honorka nie żałuje pieniędzy na ratunek dla narzeczonego. Puściła w obieg posagowe ruble i dogadza choremu czym może. Dobrze, że mają na kolei Kasę Chorych, bo przynajmniej otrzymuje biedak parę centów.

Po kolacji już myłam naczynia, gdy ktoś zapukał do okna i Walek szybko wyszedł, jakby czekał na umówiony znak. Szeptał z kimś w sieni i wrócił z plikiem papierów. Ubrał się i zaraz wyszedł nic nie mówiąc, tylko patrząc na mnie wymownie. Pewnie znowu otrzymał jakieś polecenie.

(CIĄG DALSZY NA STR. 15)